

GAJUSZ JULIUSZ CEZAR

O WOJNIE
DOMOWEJ

KSIĘGA PIERWSZA

Pismo Cezara zostało doręczone konsulom. Mimo wszelkich wysiłków udało się trybunom z trudem uzyskać, by je odczytano w senacie, ale nie, by otwarto nad nim debatę. Konsulowie przedstawiają ogólnie stan rzeczy w państwie. Konsul Lucjusz Lentulus oświadcza, że nie uchybi swoim obowiązkom wobec senatu i rzeczypospolitej pod warunkiem, że każdy wypowie swoje zdanie odważnie i stanowczo; jeśli zaś jak dawniej będą się oglądali na Cezara i ubiegali o jego względy, sam o sobie pomyśli wbrew powadze senatu - i on bowiem zna drogę do łaski i przyjaźni Cezara. W tym samym duchu przemawia Scypion: Pompejusz pragnie pomóc rzeczypospolitej, jeśli będzie miał senat za sobą, lecz jeśli zacznie się zwlekać i obmyślać półśrodki, niech senat nie liczy na jego poparcie, gdy tego później zażąda.

Posiedzenie senatu odbywało się w mieście, lecz Pompejusz był tak blisko, że mowa Scypiona miała to samo znaczenie co własne słowa Pompejusza. Dały się słyszeć bardziej umiarkowane zdania. Najpierw Marcellus przemawiał w tym duchu, że nie należy podejmować debaty w tej sprawie, dopóki nie odbędą się zaciągi w całej Italii i wojska nie zostaną powołane, aby pod ich osłoną senat miał odwagę bezpiecznie i swobodnie postanowić, co zechce. Marek Kalidiusz żądał, by Pompejusz odszedł od swoich prowincji celem uniknięcia zbrojnego zatargu: Cezar się obawia, że dwa legiony, które mu odebrano, Pompejusz zachowa i utrzyma pod miastem na jego zgubę; Marek Rufus z nielicznymi zmianami poparł wniosek Kalidiusza. Tych wszystkich konsul L. Lentulus ostro zwymyślał, a wniosku Kalidiusza w ogóle nie chciał poddać pod głosowanie. Marcellus, zastraszone obelgami, odstąpił od swego zdania. Tak więc krzyki konsula, postrach stojących w pobliżu wojsk, pogrożki przyjaciół Pompejusza sprawiły, że wielu wbrew woli i pod przymusem przyjęło wniosek Scypiona.

Brzmiał on: do określonego dnia Cezar ma wojsko rozpuścić, a jeśli tego nie uczyni, jego postępowanie będzie uznane za zdradę stanu. Zakładają weto trybuni ludu - Marek Antoniusz i Kwintus Kasjusz. Natychmiast otwiera się dyskusja nad ich interwencją. Padają twarde słowa, a kto przemawia ze szczególną zawziętością, tego najczęściej oklaskują wrogowie Cezara.

Pod wieczór zamknięto obrady, senatorów zaś Pompejusz wezwał do siebie, za miasto. Nie szczędzi im pochwał i zachęty na przyszłość, opieszalszych strofuje i pobudza. Wielu wysłużonych żołnierzy ze starych wojsk Pompejusza zwabia się nadzieją nagród i wyższych stopni, wielu również ściągają z dwóch legionów, które Cezar oddał. W mieście i nawet na komicjum roi się od trybunów, centurionów i weteranów. Spędza się do senatu wszystkich, co byli przyjaciółmi konsulów, co mieli obowiązki wobec Pompejusza i innych, z dawna pokłóconych z Cezarem: ten krzykliwy tłum zastrasza słabszych, podtrzymuje wątpliwych, większość traci wręcz możliwość swobodnej wypowiedzi. Cenzor Lucjusz Piso, a także i pretor Lucjusz Roscjusz oświadczają, że są gotowi udać się do Cezara, aby go o wszystkim powiadomić, i żądają na załatwienie tej sprawy sześciu dni czasu. Niektórzy nawet są zdania, by przez posłów zanieść Cezarowi wolę senatu.

Przeciw tym wszystkim przemawiają: Konsul, Scypion i Katon. Katona jątrzy zadawniona nieprzyjaźń do Cezara i ból porażki.

Lentulus znajduje bodziec w swoich olbrzymich długach, w nadziei dowództwa, prowincji, hojności książąt, których zrobi królami, jego otoczenie schlebia mu, że będzie drugim Sullą, równie jak tamten wszechwładnym. Scypiona popycha ta sama nadzieja na prowincję i wojska, którymi, jak sądzi, podzieli się z Pompejuszem dzięki węzłom krwi, a także i strach przed sądami, umizgi możnych, którzy wtedy wiele znaczyli w urzędach i sądach, na koniec własna próżność. Pompejusz zaś, podjudzany przez wrogów Cezara, i nie chcąc, by ktoś się z nim równał w godności, całkowicie się odwrócił od przyjaźni z Cezarem i pogodził się ze wspólnymi wrogami, których przeważnie sam Cezarowi przysporzył w czasach, kiedy łączyło ich powinowactwo. Doskwierało mu również haniebne przywłaszczenie dwóch legionów, które zawrócił z drogi do Azji i Syrii i poddał pod swoje rozkazy. Dążył więc usilnie, by doprowadzić do zbrojnego zatargu. Wszystko zaczyna się dziać nagle i bezładnie. Przyjaciołom Cezara nie dają czasu, by się z nim porozumieli, trybuni ludu nie mogą się bronić ani użyć prawa weta, które nawet Sulla im zachował. Już na siódmy dzień muszą myśleć o swoim ocaleniu, nie jak za dawnych lat, gdy owi słynni z gwałtowności trybuni ludu dopiero po ośmiu miesiącach zwykli się byli troskać i trwożyć o odpowiedzialność za swoje postępowanie. Dochodzi wreszcie do tej ostatecznej uchwały, na którą niegdyś senatorowie ośmielali się dopiero wtedy, gdy już samo miasto było w ogniu, a wszyscy stracili nadzieję wobec zuchwałości zbrodniarzy: senat każe konsulom, pretorom, trybunom ludu i tym prokonsulom, którzy znajdują się w okolicy Rzymu, czuwać, by rzeczpospolita nie poniosła szkody. Ta uchwała zostaje spisana 7 stycznia. Od dnia, w którym Lentulus zaczął swój konsulat, senat miał pięć dni na obrady, gdyż dwa były komicjalne, w tak krótkim więc czasie powzięto najbardziej doniosłe i najsurowsze postanowienia o dowództwie Cezara i tak wysokich dostojnikach jak trybuni ludu. Ci natychmiast uciekają z Rzymu i udają się do Cezara. Był on wtedy w Rawennie, gdzie oczekiwał odpowiedzi na swoje umiarkowane żądania, niepewny, czy poczucie ludzkiej słuszności zdoła doprowadzić do uspokojenia.

W następnych dniach senat zbiera się za miastem. Pompejusz postępuje zgodnie z tym, co uprzednio oświadczył przez Scypiona: chwali senat za męstwo i stanowczość, twierdzi, że ma w pogotowiu dziesięć legionów i że znane mu są niechętnie nastroje wśród żołnierzy, których Cezar nie zdoła nakłonić, by stanęli w jego obronie lub poszli za nim. Co do innych spraw przedstawia się senatowi nagle wnioski: o zaciągach w całej Italii; o natychmiastowym wysłaniu Faustusa Sulli do Mauretanii; o wypłaceniu pieniędzy Pompejuszowi ze skarbu państwa. Zostaje też zgłoszony wniosek, by króla Jubę uznać za sprzymierzeńca i przyjaciela, lecz Marcellus nie pozwala go na razie uchwalić.

Trybun Filippus sprzeciwia się wnioskowi o wysłaniu Sulli. We wszystkich innych sprawach zostały spisane uchwały senatu. Osobom prywatnym nadają prowincje, dwie konsularne, pozostałe pretorskie. Syria dostaje się Scypionowi, Galia Lucjuszowi Domicjuszowi; w poufnym porozumieniu wyłączają od losowania Filippa i Kottę, ich nazwisk nie wrzucają do urny. Do pozostałych prowincji posyłają pretorów. I ci nowi namiestnicy nie czekają nawet, jak to było dawniej zwyczajem, by lud zatwierdził

im dowództwo, tylko od razu wkładają płaszcze wodzów i złożywszy ślubowanie opuszczają Rzym. I konsulowie, co się nigdy dotąd nie zdarzyło, opuszczają stolicę, a ludzie prywatni, wbrew odwiecznej tradycji, pojawiają się w mieście i na Kapitolu w otoczeniu liktorów. W całej Italii robi się zaciąg, nakazuje zbiórkę broni; od municypiów wymusza się pieniądze, zbiera się je ze świątyń: wszystkie boskie i ludzkie prawa zostają pogwałcone.

Na wiadomość o tym Cezar przemawia do żołnierzy. Wspomina zniewagi, jakich doznał od swych nieprzyjaciół w różnych czasach, od ludzi, którzy uwiedli i na złe sprowadzili Pompejusza, podsycając jego zawiść i zazdrosną żądzę sławy, chociaż właśnie Cezar zawsze sprzyjał jego zaszczytom i godnościom i starał się mu ich przysporzyć. Skarży się na tak gorszący przykład, jakim jest dla rzeczypospolitej zastraszenie i przemoc wobec trybunów zakładających weto. Sulla, mimo że ogołocił władzę trybuńską ze wszystkiego, pozostawił im jednak to prawo, Pompejusz zaś, który pragnie uchodzić za odnowiciela utraconych przywilejów, nawet i to zniósł. Ilekroć nakazuje się władzom czujność, by rzeczpospolita nie poniosła szkody, którym to hasłem i dekretem senatu wzywa się ludzyski do broni, muszą zająć szczególne wypadki: zgubne ustawy, gwałty trybunów, secesja ludu, zajęcie świątyń i wzgórz - podobne zdarzenia w poprzednim wieku opłacili własną zgubą Saturninus i Grakchowie. A teraz nic takiego nie zaszło, nawet w myśli nikomu nie powstało. Na koniec wzywa Cezar żołnierzy, by od nieprzyjaciół bronili czci i godności wodza, pod którym przez dziewięć lat szczęśliwie służyli państwu, wygrali wiele bitew, uśmierzyli Galię i Germanię. Żołnierze XIII legionu, który był przy nim (ich bowiem ściągnął z początkiem zamieszek, reszta jeszcze nie nadeszła), zakrzyknęli, że są gotowi stanąć w obronie wodza i trybunów ludu.

Poznawszy dobre chęci żołnierzy, rusza z tym legionem do Ariminum i tam się spotyka z trybunami ludu, którzy doń zbiegli. Pozostałe legiony odwołuje z leży zimowych i każe im dążyć za sobą. Zjawia się u niego młody Lucjusz Cezar, którego ojciec był legatem u Cezara. Najpierw mówi o tym, z czym przybył, następnie oświadcza, że ma od Pompejusza prywatne zlecenia. Powiada, że Pompejusz pragnie się oczyścić przed Cezarem, jakoby to, co robi dla dobra rzeczypospolitej, miało być dla Cezara osobistą obrazą. Zawsze interes państwa stawia ponad obowiązki przyjaźni. Cezar też winien z uwagi na swoje wysokie stanowisko poświęcić państwu własne namiętności i gniewy i nie posuwać się w zaciętości wobec swych nieprzyjaciół tak daleko, by chcąc im szkodzić, wyrządzał szkodę rzeczypospolitej. Jeszcze inne tego rodzaju rzeczy mówi na usprawiedliwienie Pompejusza. To samo i niemal dosłownie powtarza pretor Roscjusz, oświadczając, że mówi w imieniu Pompejusza. Było widoczne, że się to nie przyda na złagodzenie sporu. Cezar jednak, mając przed sobą ludzi odpowiednich do wykonania jego zleceń, prosi ich obu, by skoro mu przynieśli słowa Pompejusza, zechcieli również przekazać Pompejuszowi jego odpowiedź: może się uda małym trudem usunąć wielkie nieporozumienia i całą Italię uwolnić od strachu. U niego honor jest zawsze na pierwszym miejscu i od samego życia ważniejszy. Boleje nad tym, że dobrodziejstwa, jakie mu przyznał lud rzymski, nieprzyjaciele chcą mu wydrzeć godząc na jego cześć. Skróciwszy mu dowództwo o pół roku, ściąga się go do Rzymu, chociaż lud uchwalił, że może nieobecny kandydować na przyszłych wyborach. Lecz tę ujmę zniósł spo-

kojnie dla dobra rzeczypospolitej. Wysłał pismo do senatu z żądaniem, by wszyscy jednocześnie złożyli broń, ale nawet tego nie uzyskał. W całej Italii odbywają się zaciągi, dwa legiony, które mu odjęto pod pozorem wojny z Partami, zostały zatrzymane, całe państwo jest pod bronią. Do czego to wszystko zmierza, jeśli nie do jego zguby? Pójdzie jednak na wszelkie ustępstwa, wszystko zniesie dla rzeczypospolitej. Niechaj Pompejusz wyruszy do swoich prowincji, niech obaj rozpuszczą wojska, niech wszyscy w Italii złożą broń, niechaj strach odejdzie od społeczeństwa, potem się odbędą wolne wybory, rządy wrócą do senatu i ludu rzymskiego. Żeby to można prędzej załatwić i uświęcić przysięgą, niech albo sam Pompejusz się zbliży, albo jemu pozwoli spotkać się ze sobą; w osobistych rozmowach da się pogodzić wszelkie sprzeczności.

Z tymi zleceniami Rosejusz z Lucjuszem Cezarem docierają do Kapui, gdzie zastają konsulów i Pompejusza. Przedstawiają im żądania Cezara. Ci zaś po naradzie dają im odpowiedź na piśmie i polecają doręczyć ją Cezarowi. Treść jej była następująca: Cezar wróci do Galii, ustąpi z Ariminum, rozpuści wojsko; gdy to uczyni, Pompejusz uda się do Hiszpanii. Tymczasem, dopóki Cezar nie da gwarancji, że dotrzyma przyrzeczeń, konsulowie i Pompejusz nie zawieszają poboru żołnierzy.

Było niegodziwością żądać, by Cezar ustąpił z Ariminum i wrócił do swojej prowincji, gdy Pompejusz zatrzymuje i prowincje, i cudze legiony; chcieć, by Cezar rozpuścił wojsko, a samemu robić nowe zaciągi; przyrzekać, że się wycofa do prowincji, a nie określić dnia, którego to nastąpi; w takim przypadku Pompejusz mógłby się nie ruszyć z miejsca przez cały czas konsulatu Cezara, a nie byłoby w tym żadnego kłamstwa ani krzywoprzysięstwa. Odbierało nadzieję utrzymania pokoju i to, że nie było mowy o konferencji i osobistym spotkaniu. Wobec tego Cezar wysłał Marka Antoniusza z Ariminum do Arretium z pięciu kohortami, sam z dwiema pozostaje w Ariminum i postanawia tam odbyć zaciąg; pojedynczymi kohortami obsadza Pisaurum, Fanum, Ankone.

Tymczasem dostaje wiadomość, że pretor Termus z pięciu kohortami trzyma Iguwium i fortyfikuje miasto, że jednak mieszkańcy bardzo sprzyjają Cezarowi - posyła więc tam Kuriona z trzema kohortami, które miał w Pisaurum i w Ariminum. Na wieść o ich zbliżaniu się Termus, nie ufając nastrojom miasta, wyprowadza swoje kohorty i umyka. Po drodze żołnierze go odstępują i wracają do domu. Kurion, witany z zapalem, zajmuje Iguwium. To upewniło Cezara, że miasta mu sprzyjają, ściąga więc z garnizonów kohorty XIII legionu i rusza na Auksimum. To miasto trzymał Atiusz, który tam wprowadził swoje kohorty i, rozesławszy po całym Picenum senatorów, czynił zaciągi. Na wieść o nadejściu Cezara dekurionowie Auksymu schodzą się tłumnie u Atiusza Warusa i oświadczają, że nie do nich należy sąd w tych sprawach, ale zarówno oni sami, jak i wszyscy mieszkańcy nie uważają za możliwe zamknąć miasto przed Gajusem Cezarem, imperatorem, który dobrze zasłużył się ojczyźnie swoimi wielkimi czynami, a więc niech Warus sam myśli o przyszłości i własnym niebezpieczeństwie.

Pod wrażeniem tych słów Warus ściąga załogę, którą do miasta wprowadził, i umyka. Za nim puściła się garstka żołnierzy z przedniej straży Cezara i zatrzymała. Gdy zawiązała się potyczka, Warusa wojsko opuściło, część odeszła do domu, reszta do Cezara. Wśród nich wzięto Lucjusza Pupiusza, centu-

riona prymipilarnego, który w tym samym stopniu służył przedtem pod Pompejuszem. Cezar pochwalił żołnierzy Atiusza, Pupiusza puścił wolno, Auksymatom podziękował, zapewniając, że nigdy im tego nie zapomni.

Gdy o tych zdarzeniach Rzym się powiedział, taki od razu padł strach, że konsul Lentulus, który przyszedł otworzyć skarbiec, by wypłacić pieniądze uchwalone Pompejuszowi przez senat, nie otworzywszy schowków, nagle wszystko porzucił i uciekł z miasta. Były bowiem fałszywe pogłoski, że Cezar już się zbliża i że widziano jego konnicę. Za konsulem podążył jego kolega Marcellus razem z wielu innymi urzędnikami. Pompejusz poprzedniego dnia wyszedł z miasta i zmierzał do legionów odebranych Cezarowi, które zakwaterował na leże zimowe w Apulii. Zaciągi w okolicy Rzymu przerwano, wszystkim bowiem zdawało się, że nie ma bezpieczeństwa z tej strony Kapui. Tam się więc najpierw gromadzą i nabierają odwagi.

Postanawiają czynić zaciągi wśród osadników, których posłano do Kapui, na podstawie prawa Juliuszowego, a gladiatorów, których tam trzymał Cezar na przeszkoleniu, Lentulus zwołuje na Forum, zachęca nadzieją wolności, rozdaje im konie i bierze pod swoje rozkazy. Później jego otoczenie przekonało go, że taka rzecz jest przez wszystkich źle widziana, rozesłał ich więc po domach związku obywateli rzymskich w Kampanii, dla obrony.

Wyszedszy z Auksimum Cezar przebiega całą ziemię piceńską.

Wszystkie prefektury w tych stronach przyjmują go z największą serdecznością i mają staranie o jego wojsko. Nawet z Cingulum, miasta, które założył Labienus i własnym kosztem rozbudował, przychodzą posłowie z zapewnieniem, że z całą gorliwością wypełnią wszystko, co rozkaże. Żąda żołnierzy - przysyłają. Tymczasem nadciąga legion XII. Z tymi więc dwoma rusza na piceńskie Askulum. Trzymał je Lentulus Spinter z dziesięciu kohortami. Na wiadomość o zbliżaniu się Cezara ucieka z miasta, lecz gdy usiłuje wyprowadzić kohorty, żołnierze go opuszczają. W drodze, mając przy sobie nieznaczną garstkę, spotyka Wibuliusza Rufusa, którego Pompejusz wysłał do ziemi piceńskiej dla podtrzymania ducha wśród ludności. Dowiedziawszy się od niego, jak rzeczy stoją w Picenum, Wibuliusz zabiera żołnierzy, a samego Lentulusa odprawia.

Spośród siebie prowadzą rozmowy o tym, że Cezar ich osaczył mając już wały i szańce prawie gotowe, a ich wódz Domicjusz, na którego słowo zostali, ma zamiar wszystko porzucić i ratować się ucieczką; i oni więc muszą myśleć o swoim ocaleniu. Z początku Marsowie się nie zgadzają i zajmują tę część miasta, która się wydawała najbardziej obronna, a takie powstaje wśród nich zamieszanie, że biorą się już do broni. Wkrótce jednak, posławszy tu i ówdzie na zwiady, poznają to, o czym nie wiedzieli, mianowicie zamysły Domicjusza. Zaraz go wyprowadzają na plac, stawiają przy nim straż, a sami spośród siebie wybierają posłów do Cezara, by mu oświadczyć, że są gotowi otworzyć bramy, przyjąć jego warunki i wydać mu żywego Domicjusza.

Cezar rozumiał, że w jego interesie jest najszybciej zająć miasto i przeprowadzić kohorty do swojego obozu, by nie nastąpiła odmiana nastrojów przez przekupstwo, przypływ odwagi lub fałszywe pogłoski (jak to na wojnie często wielkie zdarzenia są wywołane małymi); bał się jednak, że z wkroczeniem

żołnierzy w nocnej porze, ułatwiającej swawolę, mogłoby dojść do splądrowania miasta. Przyjął więc posłów łaskawie i puścił ich z powrotem, nakazując strzec bram i murów. Sam rozstawia żołnierzy na wałach, nie zostawiając wolnych miejsc, jak to czynił poprzednio, lecz w nieprzerwanej linii straży i pikiet, żeby mieli ścisłą łączność ze sobą i zajmowali całe okole wałów; trybunów wojskowych i prefektów obsyła rozkazem, by mieli oko nie tylko na wycieczki, ale nawet na poszczególnych ludzi wykradających się potajemnie z miasta. Nie było człowieka tak niefrasobliwego lub gnuśnego, który by zasnął tej nocy. Wszyscy z takim napięciem oczekiwali wyniku, że myśl i wyobraźnia biegły z przedmiotu na przedmiot: co się stanie z Korfinium, co z Domicjuszem, co z Lentulusem, co z innymi, i jaki będzie koniec wszystkiego. Około czwartej straży Lentulus Spinther woła z muru do naszych pikiet i straży, że chciałby, jeśli to możliwe, widzieć się z Cezarem.

Otrzymawszy pozwolenie, zostaje sprowadzony z miasta, a żołnierze Domicjusza odstępują go dopiero wtedy, gdy staje przed Cezarem. Idzie mu o własne bezpieczeństwo, prosi i zaklina, by go Cezar oszczędził, powołuje się na dawną przyjaźń i dobrodziejstwa, które mu Cezar wyświadczył. A były one bardzo wielkie: dzięki Cezarowi wszedł do kolegium pontyfików, po preturze otrzymał prowincję Hiszpanię, miał jego poparcie, gdy się ubiegał o konsulat. Cezar mu przerywa, mówiąc, że nie na zło wyruszył ze swojej prowincji, ale by się bronić przed zniewagami, jakie go spotykają od wrogów; by trybunów ludu, których z jego powodu wygnano, przywrócić do godności; by siebie i lud rzymski uwolnić od ucisku mniejszości partyjnej. Ta mowa podniosła Lentulusa na duchu: prosi, by mu wolno było wrócić do miasta, gdzie innym doda nadziei i otuchy tym, co uzyskał dla własnego ocalenia; niektórzy są tak przerażeni, że noszą się ze złymi zamiarami wobec swego życia.

Otrzymawszy pozwolenie, odchodzi.

Cezar skoro świt każe do siebie sprowadzić wszystkich senatorów, synów senatorskich, trybunów wojskowych, rycerzy rzymskich. Pięciu było ze stanu senatorskiego: Lucjusz Domicjusz, Publiusz Lentulus Spinther, Lucjusz Cecyliusz Rufus, Sekstus Kwinktyliusz Warus kwestor, Lucjusz Rubriusz; poza tym syn Domicjusza i kilku innych młodzieńców, wielka liczba rycerzy rzymskich i dekurionów, których Domicjusz wezwał z municypiów. Gdy ich sprowadzono, Cezar zabrania żołnierzom lżyć ich i napastować, a sam w krótkim przemówieniu wyrzuca im niewdzięczność, jaką odpłacili się za jego wielkie dobrodziejstwa. Po czym puszcza ich wolno. Sześć milionów sestercjów, które Domicjusz zwiózł i umieścił w skarbcu miejskim, kwatuorwirowie wręczają Cezarowi, on jednak zwraca je Domicjuszowi, żeby się nie wydawało, iż jest bardziej powściągliwy, gdy idzie o życie ludzkie, niż gdy o pieniądze - a przecież dobrze wiedział, że są to pieniądze publiczne, dane Pompejuszowi na wypłatę żołdu. Od żołnierzy Domicjuszowych odbiera przysięgę, jeszcze tego dnia zwijaobóz i odbywa pełny marsz dzienny. Pod Korfinium zabawił wszystkiego siedem dni. Przez ziemie Marucynów, Frentanów, Larynatów zdąża do Apulii. Pompejusz na wiadomość o tym, co się stało pod Korfinium, wyrusza z Lucerii do Kanusjum, a stamtąd do Brundizjum. Każe sobie posłać zewsząd wojska z nowych zaciągów, uzbraja niewolników, pastuchów i rozdaje im konie: robi z nich około trzystu jezdnych. Lucjusz Manliusz pretor ucieka z Alby z sześciu kohortami, pretor Rutiliusz Rufus z Tarraciny z trzema;

te jednak, zobaczywszy z daleka konnicę Cezara, którą dowodził Wibiusz Kuriusz, porzucają pretora i wraz ze sztandarami przechodzą do Kuriusza.

Tak samo w dalszej drodze kilka kohort wpada bądź na piechotę Cezara, bądź na oddziały konnicy. Przyprawiają mu schwytanego podczas marszu- Numeriusza Magiusza z Kremony, dowódcę saperów. Cezar odsyła go do Pompejusza z następującym zleceniem: ponieważ dotąd nie wyznaczono spotkania, a sam niebawem dotrze do Brundizjum, jest w interesie państwa i wspólnego ich dobra przyspieszyć te rozmowy, nie przyniesie to bowiem takiego pożytku, gdy na odległość i przez trzecie osoby zaczną roztrząsać warunki, zamiast wszystko załatwić w cztery oczy.

Odprawiwszy to poselstwo, przychodzi pod Brundizjum z sześciu legionami zwykłymi, trzema weteranów i innymi, które zabrał z nowych zaciągów i po drodze uzupełnił, Doniejuszowe bowiem kohorty wprost z Korfinium wyprawił na Sycylię. Okazało się, że konsulowie ze znaczną częścią wojsk już odpłynęli do Dyrachium, Pompejusz zaś został w Brundizjum z dwudziestu kohortami - nie można było na pewno dociec, czy uczynił to z braku okrętów, czy dla utrzymania Brundizjum, aby, mając w swych rękach wybrzeże Italii i Grecji, panować nad całym Adriatykiem i z dwóch stron prowadzić wojnę. Cezar, w obawie, że Pompejusz uzna- za konieczne porzucenie Italii, postanawia zamknąć Brundizjum, tak żeby nie można było wypłynąć z portu ani go używać. Zabrał się do tego w sposób następujący: gdzie cieśnina była najwęższa, tam z oba stron wybrzeża zaczął zrzucić wielkie kamienie i gruz, ponieważ w tym miejscu morze było pełne mielizn. Gdy się posunięto dalej i nasyp nie mógłby się utrzymać w głębszej wodzie, umieścił u obu jego krańców podwójne tratwy o powierzchni trzydziestu stóp i każdą z nich umocował u czterech rogów czterema kotwicami, aby ich fale nie porwały. Do nich dołączył tak samo dalsze tratwy równej wielkości. Wszystkie pokrywał ziemią i gruzem, aby bez przeszkody można było na nie wchodzić i wbiegać przy obronie. Od czoła i z obu boków osłonił je faszyną i przedpierniami. Co czwartą tratwę umocnił dwupiętrową wieżą, aby łatwiej się było bronić od okrętów i pożarów.

Przeciw temu Pompejusz przysposobił wielkie handlowe statki, które zajął w porcie brundyjskim. Zbudował na nich wieże trzypiętrowe i, wyposażywszy je w maszyny i wszelkiego rodzaju pociski, podpływał pod tamy Cezara, aby porozrywać tratwy i całą robotę zniszczyć. Co dzień obie strony obrzucały się z bliska kamieniami z proc, strzałami i innymi pociskami. Lecz prowadząc te działania, Cezar nie sądził, że należy się wyrzec myśli o pokoju. Chociaż bardzo się dziwił, że Magiusz, którego wysłał do Pompejusza ze swoimi poleceniami, nie wrócił, i chociaż tyle prób mogło osłabić jego zapał i dobre chęci, uważał jednak, że na wszelki sposób trzeba w tym wytrwać. Posyła więc do Skryboniusza Libona na rozmowę swojego legata Kaniniusza Rebila, który był ze Skryboniuszem z dawna i blisko zaprzyjaźniony. Poleca mu nakłaniać Libona do wszczęcia rokowań. Przede wszystkim idzie mu o spotkanie z Pompejuszem, wierzy bowiem głęboko, że jeśli się to uda, ułożą między sobą warunki złożenia broni. Ileż stąd chwały i szacunku spadłoby na Libona, jeśli by on stał się twórcą i sprawcą pokoju! Po rozmowie z Kaniniuszem udaje się Libon do Pompejusza. Wkrótce potem nadsyła odpowiedź, że nie można bez konsulów prowadzić rokowań, a ci są nieobecni.

Po tylu nieudanych próbach Cezar uznał, że trzeba tego w końcu zaniechać i zająć się już tylko wojną. Roboty, na które Cezar poświęcił dziewięć dni, były doprowadzone do połowy, gdy wróciły okręty, odesłane przez konsulów z Dyrachium - te same, na których przewieziono tam pierwszą część wojska. Pompejusz, czy to zaniepokojony robotami Cezara, czy dlatego że od początku postanowił ustąpić z Italii, zaraz po nadejściu okrętów zaczyna się przygotowywać do przeprawy, aby zaś tym łatwiej powstrzymać atak Cezara i żeby ów nie wdarł się do miasta właśnie podczas załadowywania żołnierzy, zatarasowuje bramy, zamurowuje ulice i place, na poprzek dróg kopie rowy i wbija w nie koły i pale zaostrome. Zakrywa je lekką faszyną i ziemią, równając z poziomem ulicy, dojazd natomiast i dwie drogi, które poza murami prowadziły do portu, zagrada wielkimi belkami ostro zakończonymi. Następnie każe żołnierzom po cichu wsiadać na okręty, na murach zaś i wieżach rozstawia z rzadka lekkobrojnnych spośród weteranów, łuczników i procarzy. Mieli być odwołani umówionym sygnałem, gdy już wszyscy żołnierze znajdą się na okrętach, i zostawia dla nich w łatwo dostępnym miejscu łodzie wiosłowe.

Mieszkańcy Brundizjum, rozjątrzeni zuchwalstwem żołnierzy, a i pogardliwym zachowaniem się samego Pompejusza, sprzyjali Cezarowi. Gdy już było wiadomo, że Pompejusz ma odpłynąć, brundyzjczycy, korzystając z tego, że żołnierze byli w ciągłym ruchu i zajęci przygotowaniami, dawali im znaki z dachów. Idąc za ich wskazówkami, Cezar każe przygotować drabiny i uzbroić żołnierzy, żeby nie opuścić jakiegokolwiek sposobności. Pompejusz pod noc odczepia okręty. Straże rozstawione na murach odwołuje umówionym sygnałem, a one znanymi przejściami zbiegają ku okrętom. Nasi, przystawiwszy drabiny, wdzierają się na mury, lecz ostrzeżeni przez brundyzjczyków, aby unikali ślepego wału i fos, zatrzymują się i okrężną drogą, prowadzeni przez mieszkańców, docierają do portu. Tu udaje się pochwycić dwa okręty z wojskiem, które ugrzęzły przy grobli Cezara - za pomocą ludzi i galarów ściągają je z powrotem. Cezar wiedział, że byłoby teraz najważniejsze i z największą korzyścią zgromadzić okręty, przepłynąć się za morze i ścigać Pompejusza, zanim ów zdoła się wzmocnić zamorskimi posiłkami, lecz obawiał się, że to bardzo długo potrwa, ponieważ Pompejusz całe wybrzeże ogołocił z okrętów. Nie pozostawało nic innego, jak jczekać na okręty z bardziej oddalonych stron, z Galii, z Picenum, z Sycylii, a to znów ze względu na porę roku zapowiadało się trudne i przewlekłe. Nie chciał również, aby korzystając z jego nieobecności, przeciwnicy zapewnili sobie wierność starych wojsk Pompejusza i obu Hiszpanii, z których jedna miała wobec Pompejusza obowiązki wdzięczności za wielkie dobrodziejstwa, nie chciał im pozwolić na gromadzenie posiłków, konnicy, pozyskanie Galii i Italii. Na razie więc porzuca plan pościgu za Pompejuszem i postanawia ruszyć do Hiszpanii, duumwirom zaś ze wszystkich municypiów nakazuje zbierać okręty i sprowadzać je do Brundizjum. Na Sycylię wysłał Waleriusza legata z jednym legionem, na Sycylię Kuriona jako propretora z trzema legionami i każe mu zaraz po zajęciu Sycylii przepłynąć wojsko do Afryki.

Sycylię miał wówczas Marek Kotta, Sycylię Marek Katon, Afrykę los wyznaczył Tuberonowi. Karalitania na pierwszą wiadomość o wysłaniu do nich Waleriusza, zanim ów jeszcze wyruszył z Italii, z

własnego popędu Kottę wyrzucają z miasta. Ten, sądząc, że cała prowincja jest tak samo nastrojona, przerażony ucieka z Sardynii do Afryki. Na Sycylii zaś Katon naprawiał stare okręty wojenne i po różnych miastach rekwirował nowe. Robił to z wielkim zapalem. W Lukanii i w Bruttium przez swoich legatów brał do wojska obywatele rzymskich, od miast sycylijskich zażądał pewnej liczby konnicy i piechoty. Mając to wszystko prawie na ukończeniu, dowiaduje się o wymarszu Kuriona, zwołuje zgromadzenie, skarży się, że Pompejusz go opuścił i zdradził, że Pompejusz całą tęniepotrzebną wojnę zaczął zupełnie nie przygotowany, a na jego i innych interpelacje w senacie zapewniał, że wszystko, co potrzebne, ma w największym porządku. Tak się wyskarżywszy na zgromadzeniu, ucieka ze swojej prowincji.

Waleriusz Sardynię, a Kurion Sycylię zastali opróżnione przez namiestników, gdy się tam ze swoim wojskiem znaleźli. Tubero, wylądowawszy w Afryce, zastał na czele prowincji Atiusza Warusa, który, jak wyżej była mowa, straciwszy swoje kohorty pod Auksimum, uciekł do Afryki, a widząc, że jest nie zajęta, samowolnie owładnął nią i dokonał zaciągu, z czego zebrał dwa legiony. Ułatwiła mu to znajomość ludzi i kraju, ponieważ parę lat wcześniej miał tę prowincję jako propretor. Gdy się Tubero zjawił przed Utyka, Warus zamknął przed nim port i miasto, nie pozwolił mu nawet wysadzić na ląd chorego syna, lecz zmusił do podniesienia kotwic i wycofania się z tych stron.

Załatwiwszy sprawy, o których wyżej była mowa, Cezar rozmieszcza żołnierzy po okolicznych muni-
cypiach, aby dać im czas na wytechnienie, sam zaś udaje się do Rzymu. Gdy się senat stawił na we-
zwanie, Cezar wypomina zniewagi, jakich doznał od swoich wrogów. Oświadcza, że nie ubiegał się o
żadne nadzwyczajne godności, lecz odczekawszy czas prawem ustanowiony, starał się ponownie o
konsulat, co jest dostępne wszystkim obywatelom, i na tym poprzestał. Dziesięciu trybunów ludu po-
stawiło wniosek, by mógł kandydować nieobecny, i wniosek przeszedł wbrew sprzeciwom wrogów,
zwłaszcza Katona, który ze szczególną zaciekłością go zwalczał, starym swoim zwyczajem przeciąga-
jąc obrady długimi mowami. To się działo w obecności Pompejusza, który był wtedy konsulem. Jeśli
się Pompejusz nie zgadzał, czemuż do tego dopuścił? Jeśli się zaś zgodził, czemuż nie pozwala mu
skorzystać z łaski ludu? Wskazuje na własne umiarkowanie, gdy dobrowolnie zażądał rozpuszczenia
wojsk, składając ofiarę ze swej godności i swego honoru. Tym bardziej jest widoczna zaciętość jego
wrogów, którzy, jeśli o nich chodziło, odrzucali to, czego od niego żądali, i woleli wszcząć powszech-
ny zamęt niż zrzec się wojsk i dowództwa. Podkreśla zniewagę, jaką było wydarcie mu legionów,
okrucieństwo i zuchwałość w ograniczaniu prawa trybunów ludu, przypomina przedstawione przez
siebie warunki i nalegania o bezpośrednie porozumienie, które spotkały się z odmową. Z tych wzglę-
dów zwraca się do senatorów z żądaniem, by podjęli sprawy państwa i razem z nim rządzili. Jeśli się
pod wpływem strachu wycofają, nie będzie się im narzucał i sam jeden sprawować będzie rządy.
Trzeba wysłać do Pompejusa posłów z rokowaniami, nie ma on bowiem tych obaw, o jakich nie-
dawno mówił w senacie Pompejusz, że ten, kto posłów przyjmuje, stwierdza swą siłę, a ten, kto ich
wysyła, zdradza swój lęk. To, jak mu się wydaje, byłoby cechą miernego i słabego ducha. Tak jak w

rzeczach wojennych starał się przodować, tak i w sprawiedliwości, i słuszności chce innych przewyższyć.

Senat uchwalił wniosek o wysłaniu posłów, lecz nie znaleziono nikogo, kto by się tego podjął; każdy się wymawiał, przeważnie ze strachu. Pompejusz bowiem przed wyjazdem z Rzymu powiedział w senacie, że tych, co zostaną w stolicy, będzie traktował tak, jakby byli w obozie Cezara. Trzy dni zeszły na przekonywanie i wymówkach. Wrogowie Cezara podstawili Lucjusza Metella, trybuna ludu, by zarówno tę rzecz przeciągał, jak i sprzeciwiał się wszystkiemu, co by Cezar przedsięwziął.

Przejrząwszy jego zamiary i zmarnowawszy na próżno kilka dni, Cezar, aby uniknąć dalszej straty czasu, pozostawia te sprawy nie załatwione i wyrusza do Galii Zaalpejskiej.

Tam dowiaduje się, że Wibuliusz Rufus, którego sam niedawno uwolnił pod Korfinium, został wysłany przez Pompejusza, że i Domicjusz wypłynął na zajęcie Marsylii z siedmiu okrętami wiosłowymi, jakie zarekwirował u osób prywatnych na wyspie Igilium i w Kosanum i obsadził własnymi niewolnikami, wyzwolencami i kolonami, i że nawet wyprawiono nieco wcześniej rodzaj poselstwa, złożonego ze szlacheckich młodzieńców, którzy ze stolicy wracali do domu. Pompejusz przed opuszczeniem Rzymu, przemawiając do nich, upominał, by nowe umizgi Cezara nie usunęły z ich pamięci starych dobrodziejstw, jakie Pompejusz ich miastu wyświadczył. Miało to ten skutek, że marsylijczycy - zamknęli bramy przed Cezarem, wezwali Albików, szczep barbarzyński, z dawien dawna zhołdowany, a osiadły w górach powyżej Marsylii, zwieźli do miasta zboże z okolicy i wszystkich grodów, uruchomili w mieście warsztaty broni, naprawiali mury, bramy, flotę.

Cezar zaprosił do siebie z Marsylii piętnastu najprzedniejszych obywateli. Z nimi prowadził rzecz w tym duchu, by Marsylia pierwsza nie zaczęła wojny: powinna raczej pójść za godnym szacunku przykładem całej Italii niż ulegać samowoli jednostki. Dorzucił jeszcze niejedno, co w jego przekonaniu mogło się przyczynić do uzdrowienia umysłów. Jego słowa delegaci odnieśli do domu, po czym w imieniu władz taką dali odpowiedź: widzą, że naród rzymski jest podzielony na dwa obozy; nie ich sądem i siłami rozstrzygnąć, która strona ma słuszność; na czele stronnictw stoją Pompejusz i Cezar, obaj opiekunowie ich miasta: jeden oficjalnie przydzielił im ziemie Wołków, Arekomików i Helwiów, drugi, zwyciężywszy Saliów, oddał ich Marsylii i powiększył jej dochody z danin; wobec jednakich dobrodziejstw należy się jednaka wdzięczność, nie mogą więc wspierać jednego przeciw drugiemu ani wpuścić do miasta lub portów.

Ledwo zaczęto układy, gdy pod Marsylią zjawia się Domicjusz ze swoimi okrętami. Zostaje przyjęty, otrzymuje władzę nad miastem i naczelne dowództwo. Z jego rozkazu rozsyłają flotę w różne strony, łapią, gdzie tylko mogą, statki handlowe i ściągają do portu. Były one jednak zbyt skąpo zaopatrzone w zawory żelazne, mocne drzewo i takielunek, użyto ich więc do wyposażenia i naprawy innych okrętów. Zboże, ile się dało znaleźć, sprowadzają do składów miejskich, robią też zapasy innych towarów i prowiantów na wypadek oblężenia. Oburzony tym Cezar ściąga pod Marsylię trzy legiony i postanawia budować wieże i szopy oblężnicze, a w Arelate zamawia dwanaście okrętów wojennych. Zbudowano je i wyekwipowano w trzydzieści dni, licząc od dnia kiedy ścięto drzewo na budulec. Gdy sta-

nęły pod Marsylią, oddał dowództwo nad nimi Decymusowi Brutusowi, a legata Gajusa Treboniusza pozostawił przy oblężeniu miasta.

Wśród tych przygotowań i zarządzeń wysłał do Hiszpanii legata Gajusa Fabiusza z trzema legionami, które trzymał na leżach - zimowych w Narbonie i okolicy. Kazał mu jak najszybciej zająć przełęczę Pirenejów, które w tym czasie obsadzał legat Lucjusz Afraniusz. Reszta legionów, która zimowała w odleglejszych stronach, miała za nimi podążyć. Fabiusz, stosownie do rozkazu, w lot zrzucił załogę przełęczy i wielkimi marszami ruszył na wojsko Afraniusza. Skoro przybył Wibuliusz Rufus, wysłany przez Pompejusza, jak o tym była mowa, Afraniusz i Petrejusz, i Warron, legaci Pompejusza, z których jeden siedział w Hiszpanii Bliższej z trzema legionami, drugi w Dalszej, od Przełęczy Kastulońskiej do rzeki Anas, z dwoma legionami, trzeci z tą samą liczbą legionów zajmował ziemię Wettonów, od rzeki Anas, i Luzytanie, podzielili między siebie obowiązki tak, że Petrejusz miał wyjść z Luzytanii i przez kraj Wettonów udać się ze wszystkimi swoimi siłami do Afraniusza, Warron zaś miał czuwać nad całą Hiszpanią Dalszą z tymi legionami, które posiadał. Tak rzecz ułożywszy, Petrejusz nakazał dostarczanie posiłków i jazdy całej Luzytanii, Afraniusz zaś Celtyberii, Kantabrom i wszystkim plemionom barbarzyńskim, które sięgają do oceanu.

Zebrawszy te posiłki, Petrejusz prędko przez kraj Wettonów dociera do Afraniusza i za wspólną radą postanawiają prowadzić wojnę pod Ilerdą z uwagi na jej dogodne położenie.

Jak wyżej powiedziano, były tam trzy legiony Afraniusza, dwa Petrejusza, poza tym kohorty ciężkozbrojne z bliższej prowincji i lekkozbrojne z Hiszpanii Dalszej, razem około osiemdziesięciu, a konnicy z obu prowincji około pięciu tysięcy. Cezar wysłał do Hiszpanii sześć legionów, piechoty posiłkowej pięć tysięcy, trzy tysiące konnicy, która z nim odbyła wszystkie poprzednie wojny, i taką samą liczbę z podbitej przez siebie Galii - byli to ludzie imiennie wzywani ze wszystkich szczepów i najszlachetniejsi, na koniec najlepsi z Akwitanów i górali sąsiadujących z prowincją Galią. Doszły go słuchy, że Pompejusz przez Mauretanię zdążył do Hiszpanii i że wkrótce tam będzie. Natychmiast zaciągnął pożyczki u trybunów wojskowych i centurionów i te pieniądze rozdzielił między żołnierzy. Miał w tym cel dwójaki: związać ze sobą centurionów niejako zastawem, a żołnierzy pozyskać szczodroblewością.

Fabiusz kusił okoliczne gminy przez listy i posłów. Na rzece Sikoris zbudował dwa mosty oddalone od siebie o cztery tysiące kroków. Przez te mosty sprowadzał paszę, gdyż z tej strony rzeki wszystko zostało już zjedzone w ciągu dni ubiegłych. W tym samym prawie miejscu robili to samo dowódcy wojsk Pompejuszowych, stąd wynikały częste utarczki między konnymi oddziałami. Raz wyszły tam dwa legiony Fabiusza, aby dać osłonę furazerom zajęтым swoją codzienną robotą: przeprowiły się już przez bliższy most, a tabory wraz z całą konnicą postępowały za nimi, gdy nagle gwałtowna wichura i powódź zerwała most, odcinając znaczną część konnicy. Petrejusz i Afraniusz poznali, co się stało, po drzewie, kamieniach, faszynie, które rzeka niosła, i w lot Afraniusz przerzucił cztery legiony i całą konnicę przez swój most, blisko miasta i obozu, aby zastąpić drogę dwom legionom Fabiusza. Na wieść o tym Lucjusz Plankus, który tymi legionami dowodził, zmuszony koniecznością, zajmuje miej-

sce nieco wzniesione i ustawia się w dwustronnym szyku na dwa fronty, aby nie być osaczonym przez konnicę. Tak, przyjmując bitwę z nierównymi siłami, wytrzymuje gwałtowne ataki legionów i konnicy. Wtem obie strony widzą z daleka znaki dwóch legionów, które Fabiusz posłał przez drugi most na pomoc naszym, licząc, że stanie się to, co się właśnie przydarzyło, mianowicie, że przeciwnicy skorzystają ze sposobności i dobrodziejstwa losu, aby się rzucić na naszych. Ze zjawieniem się tych legionów, bitwa ustaje i obie strony odprowadzają wojska do obozów.

W dwa dni później przybył Cezar z dziewięciuset jeźdźcami, których wziął sobie jako straż przyboczną. Most zerwany przez burzę i jeszcze niezupełnie naprawiony kazał w ciągu nocy wykończyć. Zbadawszy naturalne położenie okolicy, zostawia sześć kohort dla obrony mostu i obozu razem z całym taborem i nazajutrz wszystkie wojska w potrójnym szyku prowadzi na Ilerdę: tam zatrzymuje się pod samym obozem Afraniusza i stojąc jakiś czas pod bronią, daje przeciwnikowi pole na równinie.

Na to Afraniusz wyprowadza swoje wojsko i staje na środku wzgórza pod swoim obozem. Cezar poznał, że od Afraniusza zależy, czy dojdzie do bitwy, wobec czego rozkłada się obozem o jakieś czterysta kroków od stóp góry. Przed obozem, od strony wroga, kazał wykopać fosę na piętnaście stóp głęboką, ale nie dał sypać wałów, bo to1 z daleka byłoby widoczne i nieprzyjaciele mogliby wpaść nagle na pracujących żołnierzy i odpędzić ich od robót. Lecz pierwszy i drugi szyk, jak stał od początku, tak pozostał pod bronią, a w tyle za nimi trzeci szyk pracował po kryjomu. W ten sposób wszystko ukończono, zanim Afraniusz spostrzegł, że się obwarowuje obóz. Pod wieczór Cezar wyprowadza legiony za fosę i tam w zbrojnym pogotowiu przez najbliższą noc odpoczywa.

Nazajutrz trzyma wojsko za fosą, a ponieważ materiału trzeba było szukać daleko, zachowuje na razie ten sam porządek robót; poszczególne boki obozu wyznacza poszczególnym legionom i każe kopać dalsze fosy tej samej wielkości; pozostałe legiony w lekkimuzbrojeniu ustawia naprzeciw nieprzyjaciela. Afraniusz i Petrejusz, aby nas zastraszyć i przerwać roboty, podprowadzają swoje wojska do podnóża góry, zaczepiają i nękają naszych ludzi. Lecz Cezar nie przerywa roboty, ufny w osłonę trzech legionów i obronność fosy. Ci zaś, niedługo zabawiwszy i niedaleko wysunąwszy się od podnóża góry, odprowadzają z powrotem wojska do obozu. Na trzeci dzień Cezar otacza się wałem i każe sprowadzić tabory i resztę kohort, które zostawił w dawnym obozie.

Między miastem Ilerdą a najbliższym wzgórkim, gdzie Petrejusz i Afraniusz rozbili obozy, była równina szeroka na jakieś trzysta kroków, a pośrodku tej przestrzeni niewielki pagórek; Cezar był pewny, że gdyby go zajął i obwarował, odciąłby przeciwników od miasta i wszystkich zapasów, które oni zwieźli do Ilerdy. W tej nadziei wyprowadza z obozu trzy legiony i uszykowawszy je w dogodnym miejscu, każe przedchorągiewnym jednego z legionów zająć biegiem ów pagórek. Ledwo to spostrzeżono, zostają tam w lot wysłane krótszą drogą kohorty Afraniusza, mające posterunki przed obozem. Zawiazuje się bitwa. Ludzie Afraniusza, ponieważ wcześniej dobiegli do pagórka, odparli naszych, a gdy jeszcze nadeszły im posiłki, nasi musieli się cofnąć pod znaki legionów.

Żołnierze nieprzyjacielscy walczyli w ten sposób, że najpierw podbiegali z wielkim impetem, śmiało zajmowali pozycję, lecz nie bardzo pilnowali porządku i bili się nie w zwartych szeregach, ale luźno rozproszeni: pod lada przewagą ustępowali, cofali się bez sromu, przejąwszy od Luzy tanów i innych barbarzyńców ten niejako barbarzyński rodzaj walki. Nieraz się tak dzieje, że żołnierz po długim pobycie w pewnym kraju nasiąka jego zwyczajami. To zmieszało naszych, nie obytych z tym rodzajem walki: zdawało się bowiem, że są osaczeni, gdy poszczególni przeciwnicy zabiegali im z otwartego boku. Sami zaś uważali, że nie godzi się rozluźniać szeregów ani odstępować sztandarów, ani bez ważnej przyczyny porzucać zajętej pozycji. W końcu, gdy zamęt ogarnął przedchorągiewnych, legion, znajdujący się na tym skrzydle, nie dotrzymał placu i cofnął się na pobliski wzgórek. Skoro popłoch wdarł się we wszystkie prawie szyki, co się stało wbrew dobrej sławie i zwyczajowi, Cezar, zagrzawszy żołnierzy, prowadzi na pomoc dziewiąty legion i przeciwnika, ścigającego naszych z tak zuchwałą zaciętością, zatrzymuje, zmusza do odwrotu i cofnięcia się pod osłonę murów Ilerdy. Lecz żołnierze dziewiątego legionu, pragnąc zabiścić doznaną porażkę, uniesieni zapałem, nierozważnie zapędzili się za uciekającymi aż na stok góry, na której stoi Ilerda. Nie zdążyli się wycofać, gdy tamci przeszli do natarcia, korzystając z wysokiej pozycji. Było to miejsce spadziste, z obu stron strome i tak wąskie, że trzy kohorty rozstawione w szyku bojowym całkowicie je wypełniały, nie można więc było ani posiłków podesłać z któregoś boku, ani konnica nie mogła się przydać w potrzebie. Stok zaś od miasta schodził łagodną pochyłością na przestrzeni około czterystu kroków. Tędy mogli się wycofać nasi, których tak daleko poniósł nierozważny zapał. Przyszło im walczyć w najgorszych warunkach, bo i w ciasnocie, i w dole, gdzie żaden pocisk z góry nie padał na próżno. Trzymali się jednak męstwem i wytrwałością, nieczuli na rany. A tamtym przybywało sił, gdyż coraz dosyłano im świeże kohorty z obozu przez miasto i zdrowi zastępowali wyczerpanych. To samo musiał robić i Cezar, posyłając nowe kohorty dla złuzowania tych, co z sił opadli. Tak walczone bez przerwy pięć godzin. Nasi coraz bardziej uginali się pod przeważającą liczbą i zużyli już wszystkie pociski, wreszcie dobyli mieczów i uderzyli na kohorty stojące w górze: kilka z nich rozbili, resztę zmusili do ucieczki. Odepchnąwszy ich pod mury, a częściowo wpędziwszy w popłochu do miasta, uzyskali łatwy odwrót. Konnica zaś nasza, znajdująca się po obu bokach, chociaż stała w dole, potrafiła jednak z najwyższym męstwem wjechać na górę i uwijając się między dwoma szykami, zapewniła naszym wygodniejszy i bezpieczniejszy odwrót. Taka była ta bitwa, prowadzona ze zmiennym szczęściem. Z naszych w pierwszym starciu padło około siedemdziesięciu, wśród nich Kwintus Fulginiusz, pierwszy centurion XIV legionu, dzięki niepospolitemu męstwu wyniesiony na stanowisko z niższych stopni. Rannych było ponad sześciuset. Z ludzi Afraniusza poległo ponad dwustu żołnierzy, czterech centurionów i Tytus Cecyliusz, centurion prymipilarny. Każda ze stron sobie przypisywała zwycięstwo: afranianie, chociaż w powszechnej opinii uchodzili za słabszych, szczycili się, że tak długo dotrzymali pola w walce wręcz i znieśli pierwsze natarcie i że od początku zajmowali pagórek, który był przyczyną bitwy; nasi natomiast powoływali się na fakt, że w nierównym polu i z nierównymi siłami wytrzymali pięciogodziną bitwę, że z mieczami w ręku wdarli się na górę i że za-

jąwszy tam pozycję, zmusili przeciwników do odwrotu i wpędzili do miasta. Pagórek, o który toczyła się bitwa, ludzie Afraniusza silnie obwarowali i obsadzili załogą. W dwa dni później przyszło niespodzianie nowe niepowodzenie.

Zerwała się nawałnica, jakiej nigdy w tych stronach nie pamiętano. Ze wszystkich gór spłynęły śniegi, rzeka wezbrała, w jednym dniu zerwała oba mosty zbudowane przez Fabiusza. Wynikły stąd wielkie kłopoty dla wojska. Jak bowiem wyżej podano, obozy znajdowały się między dwiema rzekami, Sikoris i Cinga, oddalonymi od siebie o trzydzieści tysięcy kroków, a skoro teraz żadnej z nich nie można było przejść, wszyscy musieli tłoczyć się w tej ciasnocie. Ani gminy, które się przyłączyły do Cezara, nie mogły dostarczać zboża, ani ci z naszych, co trochę dalej poszli za paszą, nie mogli wrócić z rzek, ani wielkie transporty z Italii i Galii nie mogły dotrzeć do obozu. Był zaś czas bardzo trudny: zboża nie było w spichlerzach, a na polach jeszcze nie dojrzało, nie miały go również gminy okoliczne, gdyż Afraniusz prawie wszystko zwiózł do Ilerdy, a co jeszcze zostało, Cezar już dawno zużył. Bydło (najbliższa pomoc w niedostatku) z całego sąsiedztwa odesłano z powodu działań wojennych w dalsze strony. Nasze oddziały, wychodzące na zbieranie paszy lub zboża, były ścigane przez lekkozbrojnych Luzytano i cetratów z Hiszpanii Bliższej, dobrze znających te okolice i z łatwością przepływających rzekę na pęcherzach, w które, powszechnym u nich zwyczajem, zaopatrują się idąc do wojska.

Tymczasem u Afraniusza było wszystkiego pod dostatkiem. I paszę miał w wielkiej obfitości, i moc zboża, o które się zawczasu postarał i które zwiózł do Ilerdy, a jeszcze mu wciąż znoszono z całej prowincji. Te wygody zapewniał bez żadnego niebezpieczeństwa most pod Ilerdą oraz nietknięte zarzeczce, dokąd Cezar nie miał w ogóle dostępu. Powódź trwała kilka dni. Cezar starał się naprawić mosty, ale nie pozwalała mu na to wezbrana rzeka, a i kohorty nieprzyjacielskie rozstawione na brzegu przeszkadzały w robocie, tym bardziej że sprzyjał im układ naturalny rzeki i jej wysokie wody, a mieli i tę przewagę, że z całego brzegu mogli rzucać pociski w jedno miejsce, i to wąskie. Było trudno pracować na bystrym nurcie i jednocześnie osłaniać się od pocisków.

Donoszą Afraniuszowi, że nad rzeką stanęły wielkie posiłki przeznaczone dla Cezara. Byli tam łucznicy z Rutenów, jeźdźcy z Galii z mnóstwem wozów i taboru, jak zwyczajnie u Galów. Byli poza tym ludzie rozmaici, około sześciu tysięcy z niewolnikami i dziećmi. Szli bez ładu, bez dowództwa, jak kto chciał, wolni od trwogi, w swobodzie dawnych czasów i bezpiecznych dróg. Była tam i szlachetna młodzież, synowie senatorów i rycerzy, były poselstwa od miast, byli i wysłannicy Cezara. Rzeki ich zatrzymały. Na ich zgubę wyrusza nocą Afraniusz z całą konnicą i trzema legionami. Jeźdźcy przodem wysłani wpadają na niczego się nie spodziewających. W lot jednak konni Galowie zbroją się i stają do bitwy. Dopóki można było walczyć w równym boju, wytrzymali w swej szczupłej liczbie przeważające siły wroga, lecz gdy ukazały się znaki legionów, wycofali się z małymi stratami w pobliskie góry. Ta bitwa przyniosła naszym zbawienną zwłokę: mieli czas przenieść się na wzgórze. Straciliśmy w tym dniu około dwustu łuczników, kilku jeźdźców, niewielką liczbę ciurów i zwierząt jucznych.

Przez te wypadki wzrosła drożyzna, wpływa na nią bowiem nie tylko bieżący niedostatek, ale i lęk przed przyszłością. Cena za jeden modius doszła już do pięćdziesięciu denarów, brak zboża zmniejszał siły żołnierzy, a trudności zwiększały się z każdym dniem. Tak więc w kilka dni nastąpiła wielka zmiana położenia i los ku temu się przechylał, że nasi mieliby cierpieć brak najkonieczniejszych rzeczy, a tamci obfitować we wszystko i górować nad nami. Gminom, które się opowiedziały za nim, Cezar nakazał dostarczyć bydła w braku zboża, rozesłał służbę z taborów po dalszych okolicach i wszelkimi środkami starał się zaradzić biedzie.

Afraniusz, Petrejusz i tch przyjaciele rozpisywali się o tym wszystkim w listach do swoich stronników w Rzymie - obszernie i z przesadą. Niejedno plotka zmyśliła, tak że wydawało się, jakoby wojna była na ukończeniu. Gdy te listy i wieści dotarły do Rzymu, zaczęto się cisnąć do domu Afraniusza z gratulacjami. Wielu wyjechało z Italii do Pompejusza - jedni, chcąc pierwsi przynieść takie nowiny, drudzy, aby nie wyglądało, że czekają na wynik wojny, i żeby się nie zjawić na ostatku.

Wszystkie drogi były obsadzone przez pieszych i jezdnych Afraniusza, mostów nie dało się naprawić. W tej ostateczności Cezar każe budować statki, z jakimi zapoznał się w Brytanii. Kil i szpągi robiło się z lekkiego drzewa, resztę kadłuba z wikliny i okrywało się skórą. Gdy były gotowe, przewozi je nocą na połączonych wozach o dwadzieścia dwa tysiące kroków od obozu i na tych statkach przeprowia przez rzekę żołnierzy, którzy znienacka zajmują pagórek tuż nad brzegiem. Zanim się nieprzyjaciel spostrzegł, już go obwarowano. Tam przerzucą następnie jeden legion i w dwa dni buduje most, prowadząc roboty z obu stron jednocześnie. Mógł wreszcie dać bezpieczną drogę transportom i tym, co wyszli na poszukiwanie zboża, i sprawa wyżywienia zaczęła się poprawiać.

Tego samego dnia przerzucił za rzekę znaczną część konnicy. Napadłszy znienacka na beztrwożnych i rozproszonych furażerów Afraniusza, nasi jeźdźcy uprowadzają moc zwierząt i ludzi, a gdy wysłano przeciw nim lekkie kohorty, dzielą się zręcznie na dwie grupy - jedna osłania zdobycz, druga stawia czoło napastnikom. Tamci uciekają, ale jedna z kohort, która zbyt zuchwale wysunęła się noża szyć bojowy, zostaje odcięta, otoczona i wybita do nogi. Nasi jeźdźcy cali i zdrowi, z wielką zdobyczą, przez ten sam most, którym przeszli, wracają do obozu. Gdy się to dzieje pod Ilerdą, Marsylijczycy, za radą Domicjusza, spuszcza na morze siedemnaście wielkich okrętów, z których jedenaście o krytych pokładach. Dodają jeszcze wiele innych statków, aby naszą flotę już samą liczbą przerazić. Wsadzają na statki mnóstwo łuczników, mnóstwo Albików, o których wyżej była mowa, zachęcają ich nagrodami i obietnicami. Część statków zastrzega sobie Domicjusz i obsadza je kolonami i pastuchami, jakich zabrał ze sobą. Z tak wyposażoną flotą, bardzo dufni, wypływają przeciw naszym okrętom, którymi dowodził Decimus Brutus. Stały one u wyspy leżącej na wprost Marsylii.

Brutus daleko nie dorównywał im liczbą okrętów, za to Cezar przydzielił mu wybranych ze wszystkich legionów najdzielniejszych żołnierzy, przedchorągiewnych, centurionów, którzy sobie tę służbę sami wyprosilili. Przygotowali oni żelazne haki i osęki, zaopatrzyli się w wielką liczbę dzid, oszczepów i innych pocisków. Na wieść o zbliżaniu się nieprzyjaciela wyprowadzają okręty z przystani i zawiązują bitwę. Z obu stron walczone z wielką odwagą i zaciętością, Albikowie mało co ustępowali na-

szym w dzielności - twardzi górale, zaprawieni do broni. Rozstawszy się dopiero co z Marsylijczykami, pamiętali ich świeże obietnice, a znów pasterze Domicjusza, podnieceni nadzieją wolności, starali się w oczach pana okazać gorliwość. Mając szybkie statki i doskonałych sterników, Marsylijczycy wymykali się i unikali spotkania, a jeśli tylko mieli dość wolnej przestrzeni, rozwijali się w długi szeregi, aby nas otoczyć, albo w kilka statków napadali na pojedyncze z naszej floty, albo przepływali tak blisko, by nam obrywać wiosła, i dopiero gdy bezpośrednie starcie było nieuniknione, odwoływali się już nie do zręczności sterników i do forteli, ale do męstwa swoich górali. U nas nie było ani tak wyćwiczonych wiosłarzy, ani tak doświadczonych sterników:

przeniesieni nagle ze statków handlowych, nie znali nawet nazw osprzętu, nie mogli sobie również poradzić z powolnością tych ciężkich okrętów. Zbudowane bowiem naprędce z mokrego drzewa, nie były zdolne do zwinnych obrotów. Lecz skoro nadarzyła się sposobność do bezpośredniego starcia, bez wahania rzucali jeden statek przeciw dwom, przyciągali je żelaznymi hakami, walczyli na obie strony, wreszcie wskakiwali na pokład nieprzyjaciela, czynili rzeź wśród Albików i pastuchów, zatapiali okręty, inne razem z załogą chwyтали, reszta uciekła do portu. Marsylijczycy stracili w tym dniu dziewięć okrętów razem z tymi, które się dostały w nasze ręce. Dowiaduje się o tym Cezar pod Ilerdą. A właśnie z naprawą mostu nastąpiła szybka odmiana losu. Przeciwnicy, nastraszeni męstwem naszych jeźdźców, już mniej swobodnie, mniej odważnie grasowali; czasem odsuwali się niedaleko od obozu, aby mieć prędko odwrót, i szukali paszy na szczupłej przestrzeni, kiedy indziej dalekim okrążeniem omijali nasze straże i konne placówki, za lada porażką, a nieraz na sam widok konnicy, choćby z daleka, w połowie drogi porzucali wszystko i uciekali. W końcu przez kilka dni wcale się nie pokazywali, a potem wbrew powszechnemu zwyczajowi wychodzili na furaz nocą.

Tymczasem Oskijczycy i podlegli im Kalagurytanie wysyłają do Cezara z obietnicą, że się poddadzą pod jego rozkazy. Za ich przykładem idą Tarkończycy i Jacetanie, i Ausetanie, a w kilka dni później Ilurgawończycy, którzy graniczą z rzeką Hiberus. Od wszystkich żąda, by go zaopatrywali w zboże. Przymierzają i zaraz zaczynają je zwozić, ściągawszy zewsząd, jakie się dało, zwierzęta juczne. Na wiadomość o stanowisku swojej gminy kohorta Ilurgawończyków opuszcza Afraniusza i przechodzi do Cezara. Wielka naraz zmiana położenia. Zbudowanie mostu, przyłączenie się pięciu wielkich gmin, usprawnienie dostaw zboża, rozwianie się pogłosek o legionach, które rzekomo prowadził Pompejusz przez Mauretanię na pomoc Afraniuszowi - to wszystko miało ten skutek, że wiele z odleglejszych gmin opowiedziało się za Cezarem, porzucając Afraniusza. Przeciwnicy byli przerażeni. Cezar z tego korzysta i aby konnica nie musiała zawsze nakładać tyle drogi przez most, wybiera stosowne miejsce, każe kopać rowy szerokości trzydziestu stóp, do nich odprowadza część wód Sikoris i uzyskuje bród na rzece. Afraniusz i Petrejusz bardzo się zlekli, że zostaną całkiem odcięci od zboża i paszy wobec znakomitej przewagi, jaką Cezarowi dawała konnica. Postanawiają sami ustąpić i przenieść wojnę do Celtyberii. Przemawiało za tym i to, że u barbarzyńców imię Cezara było raczej nieznanne, a Pompejusza albo się bali, jeśli w poprzedniej wojnie stali po stronie Sertoriusza, albo go kochali, jeśli wtedy byli mu wierni i za swoją wierność obsypani dobrodziejstwami. Tam więc nasi przeciwnicy spodzie-

wali się licznej jazdy i wielu innych posiłków i zamyślali wojnę przeciągnąć do zimy w dogodnym terenie. Nakazują więc ściągać statki z całej rzeki Hiberus i odprowadzać do Oktogezy, miasta nad Hiberem w odległości trzydziestu tysięcy kroków od obozu. W tej części rzeki robią most z połączonych statków i przerzucają dwa legiony na drugi brzeg Sikoris. Dookoła obozu sypią wał na dwanaście stóp.

Zwiadowcy donieśli o tym Cezarowi. Najwyższym wysiłkiem żołnierzy, którzy dzień i noc pracowali nad odwróceniem rzeki, zdołano osiągnąć tyle, że jeźdźcy, chociaż z wielkim, mozołem, mogli jednak i odważali się przechodzić rzekę, pieszym natomiast woda sięgała do barków i powyżej piersi, a bystrość nurtu była równie niebezpieczna jak głębokość. Wtem przyszły jednocześnie dwie nowiny: że most na Hiberze jest już na ukończeniu i że w Sikoris znaleziono bród.

Tamci uznali, że trzeba się śpieszyć z wymarszem. Zostawiwszy w Ilerdzie załogę z dwóch kohort posiłkowych, ze wszystkimi siłami przeprawiają się przez Sikoris i łączą się w jednym obozie z dwoma legionami, które już wcześniej przerzucili. Cezarowi pozostawało tylko nękać i szarpać pochód nieprzyjaciela podjazdami konnicy. Nasz most zmuszał do tak wielkiego okrażenia, że tamci znacznie krótszą drogą mogli dotrzeć do Hiberu. Wysłani jeźdźcy przechodzą rzekę i gdy Petrejusz i Afraniusz o trzeciej straży zwinęli obóz, pojawiają się nagle na jego tyłach, szerzą zamieszanie, opóźniają i utrudniają pochód.

O świcie ze wzgórz przyległych do obozu Cezara można było widzieć, jak nasza konnica naciera gwałtownie na ich tylne straże, jak zatrzymuje i odrywa od reszty wojsk ostatnie szeregi, a kiedy wszystkie kohorty odwracają się do ataku, umyka z pola i niebawem znów następuje im na pięty. Po całym obozie gromadzili się żołnierze i ubolewali, że nieprzyjaciela z rąk się wypuszcza, że się niepotrzebnie wojnę przedłuża. Przychodzili do centurionów i trybunów wojskowych i zaklinali, żeby powiedzieli Cezarowi: "niech się nie ogląda na ich trudy i niebezpieczeństwa, ponieważ są gotowi, mogą i mają odwagę przejść rzekę tak samo jak konnica". Cezar wzdragał się rzucać wojsko w nurt rzeki przy tak wysokim stanie wody, ale, poruszony ich zapalem i okrzykami, uznał, że trzeba spróbować. Ze wszystkich centurii każe wybrać słabszych żołnierzy, których odwaga albo siły nie sprostałyby zadaniu, i zostawia ich razem z jednym legionem jako załogę obozu. Resztę legionów bez ciężkiego uzbrojenia wyprowadza i ustawia w górze i w dole rzeki wielką liczbę zwierząt jucznych, przeprawia wojsko na drugi brzeg. Tylko niewielu zniósł prąd, ale konnica ich wyłowiała i uratowała, tak że nikt nie zginął. Zaraz po przeprawie ustawia szeregi i prowadzi je w potrójnym szyku. A taki zapal był w żołnierzach, że chociaż tyle czasu zabrała im rzeka i musieli nadrobić sześć tysięcy kroków, przed dziesiątą godziną dnia doścignęli tych, co wyszli o trzeciej straży nocnej. Zobaczywszy ich z daleka, Afraniusz z Petrejuszem przerazili się tą niespodzianką tak, że zajęli wzgórze i uszykowali się do bitwy. Cezar dał wojsku wytchnąć na polu, aby nie rzucać do walki wyczerpanych żołnierzy, gdy jednak tamci ruszyli naprzód, poszedł w trop za nimi i nękał ich po drodze. Musieli stanąć obozem wcześniej, niż zamierzali. Były bowiem blisko góry i o pięć tysięcy kroków dalej szłoby się trudnym wąwozem. Mieli chęć wejść w te góry i uwolnić się od konnicy Cezara, a obsa-

dziwsi wężoży zatrzynać nasz pochód, podczas gdy sami bezpiecznie i spokojnie dotarliby do Hiberu. Powinni się byli na to wężyć i doprowadzić do skutku wszelkimi sposobami, lecz zmęczeni całodzienną walką i drogą, odłożyli rzecz do jutra. Cezar też zakłada obóz na najbliższym wzgórzu. Około północy nasi jeźdźcy przyłapali afranianów, którzy w poszukiwaniu wody zapuścili się trochę za daleko, i od nich dowiedział się Cezar, że wodzowie nieprzyjacielscy po cichu wyprowadzają wojsko. Zaraz każe dać sygnał do zwijania obozu. Posłyszawszy u nas zgiewk, tamci odwołują wymarsz w obawie, że im przyjdzie walczyć wśród nocy, pod ciężarem bagażu, albo że konnica Cezara zamknie ich w wąwozach. Nazajutrz Petrejusz z garstką jeźdźców rusza potajemnie na zwiady. W tym samym celu Cezar posyła Lucjusza Decydusza Saksę z niewielkim oddziałem. Każdy z nich to samo donosi: pięć tysięcy kroków idzie się równiną, po czym następuje okolica dzika i górzysta. Kto pierwszy zajmie wąwozy, będzie dlań fraszką nie dopuścić przeciwnika. Petrejusz i Afraniusz zwołali radę wojenną, by się zastanowić nad porą wymarszu. Wielu doradzało iść nocą: można dotrzeć do wąwozów, zanim się kto spostrzeże. Inni, powołując się na wczorajszy alarm nocny w obozie Cezara, twierdzili, że niepodobna wyjść po kryjomu. W nocy - mówili - jeźdźcy Cezara wszędzie się kręcą, pilnują dróg i całej okolicy, a nocnych bitew należy unikać, bo w wojnie domowej lada popłoch sprawia, że żołnierz raczej trwogą daje się powodować niż przysięgą. Za dnia natomiast działa poczucie wstydu, gdy się wie, że wszystkie oczy patrzą, a także postrach trybunów wojskowych i centurionów: tym się żołnierzy trzyma w karbach i zmusza do posłuszeństwa. Bezwzględnie trzeba się za dnia przedzierać: chociaż nie obejdzie się bez pewnych strat, główne jednak siły dotrą nietknięte na miejsce przeznaczone. To zdanie zwyciężyło, postanowiono wyruszyć nazajutrz o świcie. Cezar zbadawszy okolicę, z pierwszym brzaskiem wyprowadza wojsko z obozu i ciągnie dalekim okrażeniem po bezdrożach. Drogi bowiem idące do Hiberu i Oktogezy były odcięte przez leżący naprzeciw obóz wrogów. Musiał przechodzić przez wielkie i niedostępne kotliny, w wielu miejscach stawały na przeszkodzie urwiste skały, gdzie żołnierze podawali sobie oręż z rąk do rąk i szli nie uzbrojeni, jedni drugich podnosząc do góry. Tak odbyli znaczną część drogi. Nikt się jednak nie cofał przed tymi trudami, w przekonaniu, że wszystkie kłopoty się skończą, jeśli zdołają odciąć nieprzyjaciela od Hiberu i dostaw zboża. Żołnierze Afraniuszowi radośnie wybiegli z obozu, aby się nam przypatrzeć i uragać, że przyciśnięci głodem uciekamy z powrotem pod Ilerdę. Szliśmy bowiem w innym kierunku, niż to było naszym zamiarem, i wydawało się, że idziemy w przeciwną stronę. A ich wodzowie nie szczędzili sobie pochwał, że zostali w obozie. Utwierdzali się w tym mniemaniu, wiedząc, że wyruszyliśmy spod Ilerdy bez zwierząt jucznych i taboru, i byli pewni, że nie zdołamy znieść dłużej niedostatku. Lecz skoro zobaczyli, że nasze wojsko skręca powoli na prawo, a przednie straże już mijają ich obóz, nikt nie był tak opieszawy i gnuśny, by nie sądził, że trzeba natychmiast wyjść i zabiec nam drogę. Wezwano do broni i wszystkie siły, z wyjątkiem paru kohort zostawionych na straży, podążyły prosto do Hiberu.

Wszystko zależało od szybkości: kto pierwszy zajmie wąwozy i góry. Lecz Cezara opóźniały trudne drogi, Afraniusza zaś nękająca go nasza konnica. U nich jednak rzeczy tak stały, że jeśliby pierwsi dotarli do gór, uniknęliby wprawdzie niebezpieczeństwa, ale za to przepadłyby im wszystkie tabory i kohorty pozostawione w obozie: odciętym przez wojska Cezara nie mogliby w żaden sposób przyjść z odsieczą. Pierwszy zakończył ten wyścig Cezar i zszedłszy z wysokich skał na równinę, ustawił się w szyku bojowym, oczekując nieprzyjaciela. Afraniusz, mając na tyłach naszą konnicę, a przed sobą widząc wrogie szeregi, dopada jakiegoś wzgórza i tam staje. Stąd wysyła cztery kohorty cetratów na górę najwyższą w całej okolicy. Każe im biec pędem i zająć ją, aby sam mógł później tam się przenieść z całym wojskiem i zmieniając kierunek przejść górami do Oktogezy. Cetraci biegli zakolem, co zobaczywszy nasza konnica wpada na nich, tamci ani przez chwilę nie mogą się opierać jej przemocy, zostają otoczeni i w oczach obu wojsk wybici do nogi.

Nadarzała się sposobność dobrze rzecz poprowadzić. Jakoż nie uszło uwagi Cezara, że wojsko, przerażone klęską, na którą patrzyło własnymi oczami, nie jest zdolne do oporu, zwłaszcza otoczone ze wszystkich stron przez konnicę i wystawione na walkę w równym i otwartym polu. Wszyscy domagali się od Cezara, by wydał bitwę. Przybiegali doń legaci, centurionowie, trybuni wojskowi. Żołnierze - mówili - są jak najbardziej gotowi, a u tamtych strach aż nadto widoczny: ani swoim nie pośpieszyli na pomoc, ani się nie ruszyli ze wzgórza, zaledwie zdołali wytrzymać atak konnicy, a teraz stłoczeni, ze sztandarami zebrani w jedno miejsce, nie pilnują ani szeregów, ani sztandarów. I dodali jeszcze: że jeśli się Cezar lęka walczyć na nierównym terenie, znajdzie niebawem sposobność wybrać sobie miejsce dogodne, gdyż brak wody zmusi Afraniusza do odejścia. Cezar miał nadzieję, że skończy rzecz bez walki i bez strat w ludziach, skoro odetnie przeciwnikom dowóz zboża. Po cóż miałby tracić, nawet w pomyślnej bitwie, choćby małą liczbę żołnierzy? Po co narażać na rany ludzi tak dla niego zasłużonych? Po co kusić los? Czyż nie jest obowiązkiem wodza zwyciężać tak samo sprytem jak mieczem? Litował się również nad tymi współobywatelami, którzy musieliby zginąć, i wolał osiągnąć swój cel, zachowując ich przy zdrowiu i życiu. U wielu nie znajdował uznania, a żołnierze jawnie między sobą mówili, że skoro się przepuści taką sposobność, nie będą walczyć, nawet gdy Cezar tego zażąda. On jednak trwa przy swoim i ustępuje nieco pola, by zmniejszyć obawy nieprzyjaciół. Korzystają z tego Petrejusz i Afraniusz i wycofują się do obozu. Cezar rozstawia posterunki na górach, zamyka wszystkie drogi do Hiberu i okopuje się możliwie najbliżej obozu nieprzyjacielskiego.

Nazajutrz dowództwo nieprzyjacielskie, straciwszy wszelką nadzieję na zboże i dostęp do Hiberu, naradzało się, co pozostaje do zrobienia. Były dwie drogi: jedna - wrócić do Ilerdy, druga - iść na Taronę. Podczas narady przychodzi wiadomość, że nasza konnica napadła na ich ludzi, którzy wyszli po wodę. Rozstawiają gęsto posterunki konnicy i kohort posiłkowych, a między nimi umieszczają kohorty legionowe i zaczynają sypać wał od obozu do wody: kiedy on będzie gotów, zniosą posterunki i za wałem będą mogli bezpiecznie zaopatrywać się w wodę. Petrejusz i Afraniusz dzielą się między sobą kierownictwem robót i w tym celu oddalają się znacznie od obozu. Z ich odejściem nastęrcza się spo-

sobność do nawiązania rozmów między żołnierzami obu stron. Zaczynają gromadnie wychodzić i który miał w naszym obozie znajomego lub ziomka, szuka go i wywołuje. Przede wszystkim dziękują nam, żeśmy ich wczoraj oszczędzili, gdy byli w takim popłochu: "Dzięki wam żyjemy". Następnie wypytują, czy można zaufać naszemu wodzowi i czy dobrze zrobią, jeśli mu się powierzą; wyrażają żal, że nie uczynili tak z samego początku, zamiast bić się z przyjaciółmi i krewniakami. Ośmieleni tymi rozmowami żądają, by im nasz wódz zapewnił życie Petrejusza i Afraniusza, nie chcą bowiem uchodzić za takich, co uknuli zbrodnię i zdradzili swoich. Skoro im to zostanie przyrzeczone, gotowi zaraz przejść ze sztandarami. Wysyłają do Cezara przedniejszych centurionów dla ułożenia warunków zawieszenia broni.

Tymczasem jedni prowadzą swoich znajomych do obozu, aby ich ugościć, drudzy sami są zapraszani, w końcu wygląda, jakby dwa obozy połączyły się w jeden. Ten i ów z trybunów wojskowych i centurionów przychodzi do Cezara, aby mu się polecić. To samo robią książęta hiszpańscy, których Afraniusz i Petrejusz wezwali do siebie i zatrzymali jako zakładników. Szukali u nas znajomych i takich, z którymi wiązało ich prawo gościnności: każdy chciał mieć kogoś, kto by go przedstawił Cezarowi. Nawet młodzieńcy syn Afraniusza układał się z Cezarem przez legata Sulpicjusza, aby sobie i ojcu zapewnić bezpieczeństwo. Było ogólne wesele, wszyscy sobie wieszali - i ci, co uniknęli tak wielkich niebezpieczeństw, i ci, co bez własnych strat dokonali tak wielkich rzeczy, a w powszechnym uznaniu Cezar zbierał owoce swojej tradycyjnej łagodności, wszyscy pochwalali jego taktykę. Afraniusz, gdy mu o tym doniesiono, porzuca zaczęte roboty i wraca do obozu, gotów, jak się zdawało, spokojnie i z rozwagą ducha znieść, cokolwiek się zdarzy. Petrejusz natomiast nie traci głowy. Uzbiera swoją czeladź, bierze pretoriańską kohortę cetratów, garść jazdy barbarzyńskiej i wyborowych żołnierzy, których miał zwykle przy sobie jako straż przyboczną, zniemacka przylatuje pod wały, przerywa bratanie się wojsk, naszych odpędza od swojego obozu, a kogo dopadnie - zabija. Zaskoczeni nagłym niebezpieczeństwem, skupiają się w gromadkę, lewe ramię owijają płaszczem, dobywają mieczów i odcinają się ce t ratom i jeźdźcom, czując za sobą własny obóz, do którego się wycofują i skąd śpieszą im na pomoc kohorty stojące przy bramach.

Po czym Petrejusz obchodzi z płaszczem manipuły i zaklina żołnierzy, by ani jego, ani Pompejusza, który jest ich wodzem, nie wydawali na kaźń przeciwnikom. Robi się od razu zbiegowisko wokół pretorium. Petrejusz każe im przysiąc, że nie opuszczą szeregów, nie zdradzą dowódców, że nikt osobno nie będzie myślał o swoim ocaleniu. Sam najpierw składa przysięgę, następnie zniewala Afraniusza, dalej idą trybuni wojskowi i centurionowie, wreszcie tę samą przysięgę składają żołnierze, centuria za centurią. Pada rozkaz, by każdy przyprowadził żołnierzy Cezara, jeśli ktoś ich u siebie ukrywa.

Sprowadzonych zabijają na oczach wszystkich przed pretorium. Ten i ów jednak zdołał ukryć u siebie swojego gościa i nocą wyprawił go za wały. Postrach rzucony przez wodzów, okrutna kaźń naszych ludzi, nowa więź przysięgi zniosły nadzieję tak już bliskiej kapitulacji, zmieniły nastrój żołnierzy, wszystko wróciło do pierwotnego stanu wojny. Tymczasem Cezar każe odszukać i odesłać z powro-

tem wszystkich żołnierzy nieprzyjacielskich, jacy podczas rozmów znaleźli się w naszym obozie. Niektórzy jednak trybuni wojskowi i centurionowie zostali u niego dobrowolnie. Miał on ich później w wielkim szacunku: centurionom przywrócił dawne stopnie, rycerzom rzymskim godność trybunów. Afranianie cierpieli na brak paszy, w wodę zaopatrywać się było im trudno. Legioniści mieli trochę zboża, ponieważ rozkazano im wynieść z Ilerdy siedmiodniowy zapas, ale cetraci i ludzie z wojsk posiłkowych nie mieli nic, jako że ich zasoby pieniężne były szczupłe, a ciała nie przyzwyczajone do dźwigania ciężarów.

Wielu z nich co dzień uciekało do Cezara. W tym położeniu najlepszą radą było wrócić do Ilerdy, gdzie zostało jeszcze nieco zboża. A wierzyli, że da się tam coś obmyślić i na przyszłość. Tarakona leżała za daleko: na takiej przestrzeni niejedno może się przytrafić. Przyjąwszy ten plan ruszają w drogę. Cezar wysyła za nimi konnice, by szarpała i zatrzymywała tylne straże, i sam ciągnie ze swoimi legionami. Ani przez chwilę ich ostatnie szeregi nie przestawały ucierać się z naszymi jeźdźcami. Taki zaś był rodzaj tych bitew. Tylne straże zamykały lekkozbrojne kohorty i niektóre z nich zatrzymywany się, gdy wojska szło przez równinę, jeśli natomiast wypadło wspinać się na górę, sama natura odwracała niebezpieczeństwo, ponieważ ci, co stali wyżej, bronili tych, co za nimi wchodzili. Lecz gdy zdarzyła się kotlina albo pochyłość, idący naprzód nie mogli wspierać tych, co nadążali za nimi, i wtedy groziło wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ nasi jeźdźcy, stojąc na górze, razili ich z tyłu pociskami. Nie było innej rady, jak za zbliżeniem się do takich miejsc zatrzymać legiony i ostrym atakiem odeprzeć w pierw naszą konnicę, a potem biegiem całe wojsko spuszczało się w kotlinę; gdy ją przebyło, znów na najbliższej wyżynie ustawiało się w szeregach. Z własnej konnicy, choć licznej, nie mieli żadnego pożytku: tak była zastraszona poprzednimi bitwami, że musiano ją wziąć w środek i z obu stron osłaniać szeregami piechoty. Żaden jeździec nie mógł zbroczyć z drogi, żeby go zaraz nie złapała konnica Cezara.

Wśród takich utarczek posuwano się naprzód z wolna i ostrożnie, często się zatrzymując, by iść na pomoc napadniętym oddziałom. Tak się właśnie zdarzyło. Uszedłszy cztery tysiące kroków, okrutnie nękani przez konnicę, zajmują wysoką górę i tam się oszańcowują od strony nieprzyjaciela; zwierzętom nie zdejmują juków. Widząc jednak, że Cezar rozbija obóz i ustawia namioty, a jeźdźców wysyła po paszę, zrywają się nagle i około szóstej godziny tego samego dnia ruszają w drogę, w nadziei, że będą mieli jakiś czas spokój pod nieobecność naszej konnicy. Ledwo to Cezar spostrzegł, zostawił tabory, przy nich kilka kohort, a sam, pozwoliwszy legionom na krótki odpoczynek, rusza w trop za nieprzyjacielem. O dziesiątej każe się dołączyć tym, co wyszli za paszę, a konnicę odwołać. Zaraz wraca ona do swej codziennej służby. Ostra walka wywiązuje się u tylnych straży nieprzyjacielskich, niewiele brakowało, żeby zaczęły uciekać, sporo żołnierzy, nawet kilku centurionów, poległo. Jednocześnie nadciągały główne siły Cezara, zagrażając całemu wojsku. Nieprzyjaciel nie mógł ani wyszukać odpowiedniego miejsca na obóz, ani posuwać się dalej, musiał w końcu stanąć w niedogodnym polu, daleko od wody. Lecz z przyczyn wyżej podanych Cezar ani go bitwą nie trapi, ani nie pozwala swoim rozbijać namiotów, żeby wszyscy byli gotowi do pościgu, je-

śliby się nieprzyjaciel ruszył, czy to za dnia, czy w nocy. Tamci zaś, widząc złe położenie obozu, przez całą noc coraz dalej odsuwają szanice i przechodzą z jednego miejsca na drugie. To samo nazajutrz od wczesnego świtu, przez cały dzień. W ten sposób coraz bardziej oddalali się od wody, wybierając jedno zło jako lekarstwo na drugie. Pierwszej nocy nikt u nich nie wychodzi po wodę, nazajutrz, zostawiwszy załogę w obozie, wyprowadzają do wody całe wojsko, po paszę nikt nie idzie. Cezar wołał, żeby ich trapiły te niedole i żeby ich raczej zmusić do poddania się, niż staczać bitwę. Usiłuje jednak zamknąć ich wałem i fosą, aby jak najbardziej przeszkodzić nagłym wypadom, do których, jak sądził, będą zmuszeni. Oni zaś z braku paszy, i aby lżej było wyruszyć w drogę, każą zabić wszystkie zbędne zwierzęta juczne.

Na tych zajęciach i planach schodzą dwa dni. Trzeciego dnia roboty Cezara już znacznie posunęły się naprzód. Nieprzyjaciel, chcąc przeszkodzić w wykończeniu wałów, około dziewiątej daje sygnał, wyprowadza legiony i ustawia pod swoim obozem. Cezar odwołuje żołnierzy od robót, zbiera całą konnicę, sprawia szyki: przynosiło bowiem wielką szkodę wrażenie, że unika bitew wbrew swojej sławie i dobremu imieniu, jakie miał u wojska. Lecz ze znanych powodów wciąż nie chciał walczyć, a tym bardziej teraz, kiedy na tak szczupłej przestrzeni nie mógł liczyć na całkowite zwycięstwo, nawet jeśli by zmusił nieprzyjaciół do ucieczki. Obozy bowiem były od siebie oddalone nie więcej niż o dwa tysiące kroków. Z tego dwie trzecie zajmowały uszykowane wojska, pozostawała tylko jedna trzecia do podbiegu i natarcia. Bliskość obozu zapewniała stronie pokonanej szybki odwrót. Z tego względu postanowił czekać, aż tamci uderzą, samemu nie zaczynać bitwy.

Szyk Afraniusza był podwójny z pięciu legionów, trzecią linię zajmowały, jako rezerwa, kohorty posiłkowe; Cezara potrójny, lecz na pierwszą linię wzięto po cztery kohorty z każdego legionu, za nimi po trzy z posiłkowych, i znów po trzy z każdego z pięciu legionów. Łucznicy i procarze pośrodku piechoty, konnica na skrzydłach. Cezar nie zaczynał pierwszy, tamtym snadź chodziło tylko o to, by zatrzymać roboty ziemne Cezara. Tak stali aż do zachodu słońca, po czym i jedni, i drudzy rozeszli się do obozów. Nazajutrz Cezar podjął przerwane roboty, tamci zaś próbowali brodu na rzece Sikoris, czy nie dałoby się przejść. Na to Cezar przerzuca za rzekę lekkobrojnym Germanów wraz z częścią konnicy i wzdłuż brzegów gęsto rozstawia posterunki. Wreszcie, ze wszystkich stron uciskani, gdy już czwarty dzień trzymano zwierzęta bez paszy, gdy nie było wody, drzewa, zboża, przeciwnicy proszą o rozmowę - jeśli możliwe - z dala od żołnierzy. Cezar odmawia i zgadza się tylko na jawne spotkanie. Posyłają Cezarowi jako zakładnika syna Afraniusza i przychodzą na miejsce wybrane przez Cezara. Afraniusz, którego słyszą oba wojska, mówi: „Nie możesz się gniewać ani na nas, ani na żołnierzy za to, żeśmy chcieli dochować wierności naszemu wodzowi, Gnejuszowi Pompejuszowi. Lecz już zadość uczyniliśmy obowiązkom i dosyć wycierpieliśmy. Brak nam wszystkiego, a teraz niemal jak dzięki zwierzęta jesteśmy osaczeni, nie mamy wody, nie możemy się zaklinamy, jeśli masz trochę litości - nie skazuj nas na śmierć". To wszystko wypowiada z największą pokorą i uległością. Na to Cezar: "Tobie najmniej ze wszystkich przystoi skarżyć się i litować nad sobą. Wszyscy inni bowiem spełnili swój obowiązek - ja, który nie chciałem się bić nawet w dobrych warunkach, w miejscu i czasie do-

godnym, aby nic nie stało na drodze do pokoju, moje wojsko, które nie pomnąc zniewag i wymordowania swoich towarzyszy zachowało i osłoniło twoich ludzi, na koniec twoi żołnierze, którzy z własnego popędu zaczęli rokowania o zawieszenie broni - wszyscyśmy mieli na względzie życie towarzyszy. Całe wojsko kierowało się litością, tylko wodzowie nie chcieli słyszeć o pokoju: zdeptali prawa swobodnych rozmów i rozejmu, w najokrutniejszy sposób wymordowali ludzi nieostrożnych, którzy się dali zwieść rokowaniami. Teraz masz to, co zwykle spotyka upartych i bezczelnych: że o to się ubiegają i tego najchętniej pragną, czym niedawno wzgardzili. Lecz ja nie chcę wyzyskać ani waszego upokorzenia, ani sprzyjających mi dziś okoliczności dla powiększenia własnych sił - żądam, byście rozpuszcili wojska, które przez tyle lat żywiliście na moją zgubę. Boć nie w innym celu posłano do Hiszpanii sześć legionów, a siódmy tam zwerbowano, nie na co innego przygotowano tak wielką flotę i mianowano tak doświadczonych dowódców. Nie było to potrzebne dla uśmierzenia Hiszpanii ani na użytek prowincji, która dzięki długotrwałemu pokojowi nie potrzebowała żadnej pomocy. To wszystko już z dawna było przeciw mnie zgotowane. Przeciw mnie ustanowiono prawa wojskowe nowej modły, pozwalające, by ten sam człowiek mógł kierować rządem siedząc u bram Rzymu i jednocześnie przez tyle lat nie wypuszczać z rąk dwóch najbardziej burzliwych prowincji, w których wcale się nie pokazywał. Przeciw mnie zakłócono prawny porządek, który zawsze dotąd nakazywał, by namiestników prowincji wysyłano po preturze i konsulacie, a nie z wyboru i uznania małej kliki. Przeciw mnie zniesiono przywileje wieku i narzucono dowództwo już wysłużonym w poprzednich wojnach. Tylko mnie jednemu odmówiono tego, co było przyznawane wszystkim imperatorom: że po szczęśliwym zakończeniu wojen mogli, jeśli nie z jakimś zaszczytem, to z pewnością bez hańby z wojskiem wrócić do domu i potem je rozpuścić. Wszystko jednak zniósłem cierpliwie i dalej będę znosił, i teraz nie myślę zatrzymywać odebranego wam wojska, co nie byłoby wcale trudne - wystarczy mi, że nie będą nim rozporządzać ci, którzy by go użyli przeciw mnie. A więc, jak powiedziałem, macie się wynosić z prowincji i rozpuścić wojsko. Jeśli to się stanie, nikomu nie zrobię krzywdy. To mój jedyny i ostateczny warunek pokoju". Z objawów radości można było poznać, jak wdzięcznym sercem żołnierze przyjęli wiadomość, że zamiast spodziewanej a słusznej kary spotyka ich nieoczekiwana nagroda odprawy. Skoro bowiem wszczął się spór, gdzie i kiedy ma to nastąpić, wszyscy głosem i ruchami rąk zaczęli dawać znaki z wału, na którym stali, żeby ich zaraz rozpuszczono: wszelkie uroczyste przysięgi na nic, jeśli się to na inny czas odłoży. Po krótkiej wymianie zdań postanowiono, że ci, co mają dom lub posiadłość w Hiszpanii, zostaną zwolnieni natychmiast, a reszta nad rzeką Warrem. Cezar miał czuwać, by się im, nie stała krzywda i by nikt wbrew woli nie był zmuszony do przysięgi wojskowej. Cezar obiecał dostarczać zboża od tej chwili, aż dojdą do Waru. Dodał również, że każdemu zostanie zwrócone to, co stracił podczas działań wojennych, o ile ta rzecz znajduje się u jego żołnierzy, swoim zaś żołnierzom wypłacił za te rzeczy pieniężne odszkodowanie według słusznej oceny. Jakiegokolwiek później mieli żołnierze między sobą spory, z własnej woli przychodzili do Cezara, aby ich rozstrzygnął. Tymczasem niewiele brakowało, a byłby wybuchł bunt w legionach Petrejusza i Afraniusza, które się domagały żołdu, a ci mówili, że jeszcze nie nadeszła pora wypłaty. Zwrócono się

do Cezara i obie strony zgodziły się na to, co postanowił. W dwa dni później trzecią część wojska rozpuszczono, reszta szła za naszymi dwoma legionami, by jedni i drudzy mogli założyć obóz niedaleko od siebie. Cezar kazał tego dopilnować legatowi Kwintusowi Fufiuszowi Kalenowi. Jak było polecone, z dojściem do rzeki Warus rozpuszczono resztę żołnierzy.

KSIEGA DRUGA

Gdy się to działo w Hiszpanii, legat Treboniusz, dowodzący oblężeniem Marsylii, zamierzał właśnie posunąć pod miasto groble, szopy i wieże - z dwóch stron; w pobliżu portu i doków oraz ku bramie, gdzie zbiegają się drogi z Galii i Hiszpanii, przy tej części morza, która sąsiaduje z ujściem Rodanu, Marsylia bowiem, w trzech częściach oblana morzem, tylko w czwartej jest dostępna od lądu. Lecz i tu dzielnica zamkowa, z natury obronna, zawieszona nad głęboką doliną, wymaga długiego i żmudnego oblężenia. Dla swoich robót Treboniusz ściągnął z całej prowincji moc zwierząt i ludzi, nakazał zbiórkę wikliny i drzewa. Gdy wszystko było gotowe, wznosił groblę na osiemdziesiąt stóp wysokości.

Lecz miasto, z dawien dawna zaopatrzone we wszelki sprzęt wojenny, posiadało tyle machin, że ich pociskom nie mogły się oprzeć żadne szopy z wikliny. Długi długie na dwanaście stóp, ostro zakończone, wyrzucane z wielkich balist, przechodziły na wylot przez cztery warstwy plecionki i wbijały się w ziemię. Robiono więc galerie pokryte dachem z belek na jedną stopę grubych i pod ich osłoną podawano sobie z rąk do rąk materiał do budowy grobli. Przodem szedł żółw na sześćdziesiąt stóp dla wyrównania gruntu. Z mocnego drzewa, był obity wszystkim, co może zatrzymać ogień i kamienie. Lecz te wielkie prace szły powoli, zwłaszcza wobec wysokości murów i wież, przy tej liczbie machin wojennych, którymi nieprzyjaciel rozporządzał. Do tego Albikowie robili częste wypadki z miasta, niosąc ogień na nasze groble i wieże. Łatwo jednak ich odpędzano i umykali do miasta z wielkimi stratami.

Tymczasem Lucjusz Nasidiusz, którego Pompejusz posłał na pomoc Domicjuszowi i Marsylii czy kom z szesnastu okrętami, w tym kilka było obitych miedzią, przepłynął Cieśninę Sycylijską, zanim Kurion się opatrzył, przybił do Messany i taki tam sprawił popłoch, że naczelnicy i starszyzna uciekli, a on uprowadził im z doków jeden okręt. Dołączył go do swojej floty i wziął kurs na Marsylię. Przodem wysłał potajemnie łódź z nowiną o swoim przybyciu i z radą, by Domicjusz i Marsylijczycy z jego pomocą wydali nową bitwę Brutusowi.

Po niedawnej klęsce Marsylijczycy wydobyli z doków tyleż okrętów, ile ich stracili w bitwie, naprawili z największą starannością i zaopatrzyli, mając pod dostatkiem wioślarzy i sterników, wzięli jeszcze trochę łodzi rybackich i dodali im kryte pokłady, osłonę od pocisków dla wioślarzy, wprowadzili maszyny wojenne i łuczników. Wsiedli na okręty z nie mniejszą odwagą i pewnością niż za pierwszym razem, a podniecały ich modły i płacze starców, matek, dziewic, wzywających, by ratowali miasto w tej ostatecznej chwili. Jest to bowiem powszechny błąd natury ludzkiej, że w niezwykłych i nieznanym okolicznościach tak samo łatwo poddajemy się ufności, jak gwałtownie ulegamy strachowi. I tu przybycie Nasidiusza natchnęło wszystkich nadzieją i zapalem. Wypływają z pomyślnym wiatrem i docierają do Tauroentum, które jest fortem Marsylii. Tam łączą się z Nasidiuszem, doprowadzają

okręty do bojowej gotowości, umacniają się w duchu wojennym, układają wspólnie plan działania. Prawa strona przypada Marsylińczykom, lewa Nasidiuszowi.

Ku nim zmierza Brutus, mając teraz większą flotę, albowiem oprócz okrętów, które Cezar kazał budować w Arelate, miał jeszcze sześć zabranych Marsylińczykom. Brutus naprawił je i wybornie zaopatrzył. Płynął pełen dobrej nadziei i animuszu, każąc swoim ludziom lekceważyć przeciwnika, którego już raz pokonali, gdy miały nienaruszone. Z obozu Treboniusza i ze wszystkich wzgórz widziało się jak na dłoni miasto, gdzie cała młodzież, wszyscy ludzie starsi z dziećmi i żonami albo stali na murach i wyciągali ręce do nieba, albo szli do świątyń bogów nieśmiertelnych, padali przed wizerunkami i modlili się o zwycięstwo. Nikt nie wątpił, że ów dzień rozstrzygnie o losie każdego człowieka. Młodzież z pierwszych domów i na jej znacznie więcej ludzi wszelkiego wieku imiennie wezwano na okręty, by w razie klęski nikt nie szukał sobie własnej drogi ratunku, a jeśli zwyciężą, żeby zaopiekowali się miastem, używając bądź domowych środków, bądź pomocy zza granicy.

Marsylińczycy przyjęli bitwę z nieposzlakowanym męstwem. Pamiętni przestrogi, z jakimi ich miasto żegnało, walczyli tak, jakby to była ostatnia godzina, i jeśli komu śmierć zajrzała w oczy, mniemał, że nie o wiele wyprzedza los reszty obywateli, których to samo spotka po upadku miasta. Skoro nasza flota powoli zaczęła rozluźniać swój szyk, ich sternicy mogli okazać swoją zręczność, a statki zwinność, ilekroć zaś naszym udało się żelaznymi osękami przyciągnąć jeden z ich okrętów, wnet ze wszystkich stron śpieszyli mu z pomocą.

Sprzymierzeni z nimi Albikowie dzielnie stawali w walce wręcz, niewiele naszym ustępując odwagą. Jednocześnie mniejsze statki zasypywały nas pociskami, rażąc zniechęcając ludzi nie spodziewających się niebezpieczeństwa i niezdolnych do obrony. Dwa trójrzędowce napadły z dwóch stron okręt Decimusa Brutusa, który łatwo było poznać po fladze. Lecz dzięki swojej szybkości zdołał się wymknąć w ostatniej chwili, oba zaś statki nieprzyjacielskie z całym rozpędem wpadły na siebie, wyrządzając sobie nawzajem szkodę, a jeden z nich, ze złamanym dziobem, był bliski zagłady. Rzecz nie uszła uwagi najbliższych okrętów Brutusa, które wpadły na nie i oba zatopiły. Okręty Nasidiusza nie przyniosły żadnego pożytku i prędko wycofały się z bitwy; nie zmuszały ich do narażania życia ani przestrogi bliskich, ani widok ojczyzny. Żaden z nich nie zaginął.

Marsylińczykom natomiast zatopiono pięć okrętów, cztery schwytano, jeden uciekł razem z flotą Nasidiusza, który odpłynął do Hiszpanii. Jeden okręt wysłano naprzód z wiadomościami. Gdy się zbliżał do Marsylii, wyległy tłumy ludzi i taki się wszczął lament, jakby wróg zaraz miał zająć miasto. Niemniej jednak zaczęto czynić dalsze przygotowania do obrony. Legioniści pracujący w prawej części robót oblężniczych doszli do przekonania, że wobec częstych wypadów nieprzyjaciela znacznie by sobie pomogli, gdyby zbudowali pod murem wieżę z cegły jako schron i forteczkę. Zrobili ją najpierw małą i niską, na wypadek nagłych wycieczek. Tu się chronili, stąd walczyli, jeśli nacierały większe siły, stąd wybiegali w pościg za uciekającym nieprzyjacielem. Miała ona trzydzieści stóp kwadratowych, a ściany pięciostopowej grubości. Później - jako że mistrzynią we wszystkich rzeczach jest

praktyka połączona z pomysłowością - odkryto, że byłoby z wielkim pożytkiem podwyższyć ją do wysokości wieży nieprzyjacielskiej. Zrobiono to w ten sposób.

Kiedy osiągnięto wysokość piętra, pułap tak wpajano w ściany, by końce belek nie wystawały na zewnątrz i by ogień nieprzyjacielski nie miał się czego jąć. Nad tą kondygnacją budowali z cegły tak wysoko, jak na to pozwalały dachy szop i galerii, a wyżej kładli dwie poprzeczne belki nie dochodzące do ścian, na których zawieszali kondygnację mającą być przyszłym dachem wieży, a znów na tych belkach dwa tramy na krzyż kładli i objali je grubymi tarciami (tramy były nieco dłuższe i wystawały poza ściany dla zawieszania zasłon, które by chroniły od pocisków podczas budowania ścian wewnętrznych), a na szczycie tego belkowania kładli cegły i glinę dla ochrony przed ogniem i jeszcze narzucali materace, aby pociski z machin wojennych nie połamały belek albo kamienie z katapult nie rozniosły warstwy cegieł. Zrobiono też trzy maty z lin kotwicznych, tej samej długości co ściany wieży, a szerokie na cztery stopy, i zawieszono je na wystających tramach, z trzech stron wieży zwróconych do nieprzyjaciela: już gdzie indziej się przekonali, że ów rodzaj pokrycia był odporny na najsilniejsze pociski. Skoro wykończoną część wieży zakryto i zabezpieczono od wszelkich ataków nieprzyjaciela, odprowadzono galerie do innych robót. Z kolei dach wieży, niby część oddzielną, zaczęto podnosić w górę, podstawiając podpory z pierwszego piętra. Gdy podniesiono go na tyle, na ile pozwalały wiszące zasłony z mat, żołnierze ukryci za nimi układali ściany z cegieł i, znów podnosząc dach wyżej, zdobywali miejsce do dalszej budowy. Gdy nadszedł czas drugiego piętra, tak samo jak na pierwszym ułożyli belki nie wystające poza ściany i znów z tej kondygnacji wznosili najwyższe piętro pod osłoną mat. W ten sposób z całkowitym bezpieczeństwem wybudowali sześciopiętrową wieżę, zaopatrzoną w odpowiednich miejscach w okna do wyrzucania pocisków z machin.

Mając tak pewne schronienie w wieży podczas robót w jej pobliżu, postanowili zbudować myszkę na sześćdziesiąt stóp z dwustopowych tramów i przeprowadzić ją od wieży ceglanej aż do nieprzyjacielskiej wieży i muru. Myszka zaś była zrobiona tym kształtem. Najpierw kładli na ziemi dwie belki równej długości, oddalone od siebie o cztery stopy, i wbijali w nie słupki wysokości pięciu stóp. Te słupki łączyli lekko wzniesionymi krokwiemi, na które miało przyjść belkowanie dachu. Na krokwiach położono tramy dwustopowej grubości, które spojono blachą i kłamrami. Na zewnątrz dachu i na końcach tramów przytwierdzono czterocalowe listwy dla przytrzymania cegieł, które miały przyjść na wierzch. Starannie wykończony dach okryto nie tylko ceglami, ale i gliną, aby go zabezpieczyć od ognia rzucanego z murów. I jeszcze na cegły naciągnięto nie wyprąwioną skórę, aby nie rozmyła cegieł woda, którą nieprzyjaciel wylewał rurami. Skórę jeszcze okryto materacami dla ochrony przed kamieniami. Pracowano nad "tym w ukryciu za szopami obłąńczonymi, tuż obok już gotowej wieży, i gdy nieprzyjaciel niczego się nie spodziewał, podłożono pod myszkę walce i maszyną okrętową przyciągnięto ją do samej wieży nieprzyjacielskiej.

Marsylińczycy, przerażeni nagłym niebezpieczeństwem, jak największe głazy ciągną dźwigami i strącają je z muru na myszkę. Siła budulca wytrzymuje uderzenie, a pochyłość dachu sprawia, że wszys-

ko, co nań spadnie, stacza się na dół. Nieprzyjaciel chwytą się innego sposobu. Zapala beczki naładowane smołą i drzewem sosnowym i spuszcza je z muru na myszkę. Lecz i one po ceglach staczają się na ziemię, a tu odciąga się je w lot drągami i widłami. Tymczasem nasi żołnierze, ukryci w myszce, lewarami wyważają z fundamentów wieży nieprzyjacielskiej dolne kamienie. Jednocześnie z naszych machin syją się pociski, spędzają nieprzyjaciela z wieży i z murów, ogoławają je z obrońców. Właśnie usunięto kilka kamieni z fundamentów ich wieży i od razu część budowli się wali, a reszta grozi upadkiem. Wtedy Marsylijczycy, w strachu, że już nic ich nie osłoni od splądrowania miasta, wybiegają z bram bez broni, z białymi przepaskami na skroniach i wyciągając ręce do naszych legatów i wojska, błagają o zmiłowanie. Nowy obrót rzeczy przerwał działania wojenne, żołnierze nie myśląc o bitwie, garnęli się do słuchania wiadomości. Marsylijczycy padli na kolana przed legatami i wojskiem, prosząc, by poczekano na Cezara: miasto jest już jakby zdobyte, gdy u nas wszystkie roboty wykończone, a ich wieża lada chwila runie - zaprzestają więc obrony. Gdy Cezar nadejdzie i przekona się, że nie usłuchali rozkazów, nic nie odwlecze ich klęski, teraz zaś żołnierze, chciwi łupu, wpadną do miasta i zniszczą je do szczytu. Te i tym podobne rzeczy wygłaszają tak, jak tylko potrafią ludzie wykształceni, i budzą gorące współczucie.

Legaci odwołują żołnierzy, zaprzestają oblężenia, zostawiają tylko strażę przy robotach. Litość sprawia zawieszenie broni, wszyscy czekają na Cezara. Żaden pocisk z muru, żaden od nas nie pada; jakby już było po wszystkim, ustaje wszelka czujność i pilność. Cezar bowiem w swoich listach jak najbardziej upominał Treboniusza, by nie dopuścić do zajęcia miasta gwałtem: żołnierze, rozjątrzeni buntem Marsylijczyków, pogardliwym ich stosunkiem, własnymi trudami, gotowi by wyróżnić całą dorosłą młodzież. I rzeczywiście odgrządzali się, że tak zrobią, niełatwo było ich powstrzymać, mocno sarkali na Treboniusza, że nie daje im zawładnąć miastem.

Wiarołomny zaś nieprzyjaciel szuka pory i sposobności do zdrady i podstępu. W kilka dni później - gdy nasi rozleniwili się i rozprzęgli, gdy jedni się porozchodzili, drudzy, zmęczeni długotrwałą pracą, posnęli wśród robót, a broń była odłożona i okryta - nagle koło południa tamci robią wypad i dzięki pomyślnemu wiatrowi podpalają nasz sprzęt oblężniczy. Silny wiatr tak rozniósł pożar, że w jednej chwili płomień objął groblę, galerię, żółwia, wieżę, maszyny, i wszystko spłonęło, zanim można było zdać sobie sprawę, jak się to stało. Nagłym nieszczęściem ruszeni, nasi chwytają broń, jaka im wpadnie w ręce, inni nadbiegają z obozu i rzucają się na wroga. Lecz z murów lecą strzały, z machin pociski, nie sposób ścigać uciekających. Oni zaś pod osłoną muru spokojnie podpalają myszkę i wieżę ceglana. Tak praca wielu miesięcy przepada w jednej chwili wskutek perfidii wroga i okrutnej wichury.

Nazajutrz Marsylijczycy jeszcze raz się pokusili przy takiej samej pogodzie. Z większą niż dnia poprzedniego pewnością zabrali się do drugiej wieży i grobli, chcąc tam podłożyć ogień. Lecz jak poprzednio nasi wyzbyli się czujności, tak teraz po niedawnym doświadczeniu wszystko mieli gotowe do obrony. Skutek był ten, że nieprzyjaciel, nic nie wskórawszy, z wielkimi stratami został odparty. Treboniusz postanowił naprawić szkody, znajdując oparcie w znacznie większej gorliwości żołnierzy: wi-

Warron ostro przemawiać przeciw Cezarowi. Często ze swojego trybunału ogłaszał, że Cezar ponosi same klęski, że wielka liczba żołnierzy zbiegła od Cezara do Afraniusza i że to wszystko wie z pewnych źródeł, od godnych zaufania posłańców. Gdy już porządnie nastraszył obywateli rzymskich w swojej prowincji, zażądał od nich na administrację osiemnastu milionów sestercjów, dwudziestu tysięcy funtów srebra i stu dwudziestu tysięcy miar pszenicy.

Które zaś gminy uważał za przychylne Cezarowi, na te nakładał bardzo wielkie ciężary, posyłał do nich załogi wojskowe, ścigał wyrokami sądowymi osoby prywatne za rzekome słowa i przemówienia na szkodę państwa, majątki ich konfiskował. Całej prowincji kazał składać przysięgę na wierność sobie i Pompejuszowi. A gdy się dowiedział, jak sprawy stoją w Hiszpanii Bliższej, zaczął się gotować do wojny. Zamierzał mianowicie przenieść się z dwoma legionami do Gades, tam trzymać cały zapas zboża i okręty, poznał bowiem, że cała prowincja jest za Cezarem. Wydało mu się, że nietrudno będzie prowadzić wojnę, gdy zboże i okręty będzie miał zebrane na wyspie. Cezar, mimo że liczne i pilne sprawy wzywały go do Italii, postanowił nie lekceważyć żadnych działań wojennych w obu Hiszpaniach, zwłaszcza że wiedział, ilu stronników posiada Pompejusz w bliższej prowincji i jak wiele łoży, aby ich pozyskać. Posłał do Hiszpanii Dalszej Kwintusa Kasjusza, trybuna ludu, z dwoma legionami, a sam z sześciuset jeźdźcami, nie oszczędzając koni, ruszył naprzód. Jeszcze wcześniej wysłał edykt zwołujący na określony dzień do Korduby urzędników i naczelników wszystkich gmin. Na to wezwanie w całej prowincji nie znalazła się ani jedna gmina, która by nie posłała do Korduby części swojego senatu, nie było obywatela rzymskiego choć trochę znanego, który by się nie stawił w tym dniu. Jednocześnie związek obywateli rzymskich w Kordubie z własnego popędu zamknął bramy przed Warronem, rozstawił strażę i posterunki na wieżach i murach, a dwie kohorty, tak zwane kolonialne, które się tam przypadkiem znalazły, zatrzymał dla obrony miasta. W tych samych dniach Karmona, najsilniejsza z gmin w całej prowincji, samorzutnie usunęła trzy kohorty, które Warron osadził na zamku, i zamknęła przed nim bramy.

To skłoniło Warrona do pośpiechu. Widząc, z jakim zapałem prowincja opowiada się za Cezarem, chciał jak najprędzej dotrzeć do Gades, w obawie, że mu odetną drogi i przeprawy. Jeszcze niedaleko uszedł, gdy mu oddano pismo z Gades: na wieść o edyktie Cezara starszyzna miejską, zmówiwszy się z trybunami kohort, które tam stały załogą, postanowiła wygnać Galoniusza, a miasto i wyspę zabezpieczyć dla Cezara. Poradzono Galoniuszowi, żeby dobrowolnie, póki to bezpieczne, opuścił Gades, a jeśli tego nie uczyni, znajdzie się inny sposób. Galoniusz przerażony umknął. Ledwie się to rozniosło, gdy jeden z dwóch legionów, tak zwany krajowy, wyszedł ze sztandarami z obozu Warrona i w jego oczach przeniósł się do Hispalis, gdzie rozsiadł się na forum i w portykach, nie czyniąc nic złego. Związek obywateli rzymskich w tym mieście powitał żołnierzy z radością, każdy pragnął ich ugościć we własnym domu. Zaniepokojony Warron dał znać, że zmienił kierunek i maszeruje na Italię, lecz przyjaciele donieśli mu, że zastanie tam bramy zamknięte. Mając wszystkie drogi odcięte, napisał do Cezara, że jest gotów oddać swój legion, komu on rozkaże. Cezar wysłał doń Sekstusa Cezara dla

przejęcia legionu. Warron zaś przybył do Korduby, złożył Cezarowi dokładne rachunki, przekazał wszystkie, jakie posiadał, pieniądze, podał, ile i gdzie ma zboża i okrętów.

Cezar na wiecu w Kordubie dziękował wszystkim po kolei warstwom społeczeństwa: obywatelom rzymskim - że się postarali utrzymać dlań miasto, Hiszpanom - że wypędzili załogi, Gady tanom - że udaremniili zamiary jego przeciwników, a sobie zdobyli wolność, trybunom wojskowym i centurionom, którzy tu wprowadzili załogę - że własną dzielnością przyczynili się do powodzenia całej sprawy. Obywateli rzymskich, którzy Warronowi obiecali pieniądze na potrzeby publiczne, zwolnił ze zobowiązań, a tym, co za zbyt swobodne słowa zostali skazani, zwrócił majątki. U niektórych szczepów rozdał nagrody zarówno całym gminom, jak osobom prywatnym, innych obdzielił nadzieją na przyszłość i po dwóch dniach z Korduby ruszył do Gades. Tam najpierw kazał odwieźć z powrotem pieniądze i pamiątki zabrane ze świątyni Herkulesa i ukryte w domu prywatnym. Zarząd prowincji powierzył Kasjuszowi wraz z czterema legionami, a sam po kilku dniach udał się do Tarrakony z okrętami, które bądź sam Warron, bądź na rozkaz Warrona zbudowali Gadytanie. Tam już oczekiwały go poselstwa z całej prawie bliższej prowincji. Podobnie jak w Kordubie, i tu wyróżnił zaszczytami gminy i osoby prywatne, po czym drogą lądową udał się do Narbony, a stamtąd do Marsylii. Tu zastał wiadomość, że ogłoszono w Rzymie ustawę o dyktaturze i pretor Marek Lepidus jego obwołał dyktatorem.

Marsylijczycy, utraپieni wszelkimi klęskami, doprowadzeni brakiem żywności do skrajnego niedostatku, dwukrotnie pokonani na morzu, i gdy każdy ich wypad kończył się porażką, i gdy jeszcze dotknęła ich zaraza, skutek długiego oblężenia i zmiany wikt (żywili się bowiem wszyscy starym prosem i zepsutym jęczmieniem, którego zapasy z dawna były przygotowane na takie okoliczności), mając zburzoną wieżę i znaczną część muru w ruinie, a żadnej nadziei na pomoc od prowincji i wojsk, które, jak się okazało, przeszły na stronę Cezara, postanowili poddać się bez wykrętów. Lecz parę dni wcześniej Domicjusz, zwiertrzywszy zamiary Marsylijczyków, wziął trzy statki, dwa z nich oddał swoim przyjacielom, na trzeci sam wsiadł i wymknął się pod osłoną burzliwej pogody. Dostrzegły go okręty, które z rozkazu Brutusa co dzień pilnowały portu, i podniósłszy kotwice zaczęły go ścigać. Tylko statek Domicjusza wytrzymał w ucieczce i dzięki burzy szybko znikł z oczu, dwa inne ze strachu przed naszymi okrętami wróciły do portu. Marsylijczycy, zgodnie z rozkazami, wydają wszelką broń i maszyny wojenne, pieniądze ze skarbu, z portu i doków wyprowadzają okręty. Cezar oszczędził ich nie ze względu na jakiegokolwiek zasługi wobec niego, ale z uwagi na starożytność i sławę miasta, i zostawiwszy jako załogę dwa legiony, resztę wojska odesłał do Italii i sam jechał do Rzymu.

W tym czasie Gajus Kurion przeprawił się z Sycylii do Afryki. Od początku lekceważąc siły P. Atiusza Warusa, wziął tylko dwa z czterech legionów, jakie od Cezara otrzymał, poza tym pięćset jeźdźców. Po dwóch dniach i trzech nocach żeglugi przybił do miejscowości zwanej Ankwilaria. Odległa od Klupei o dwadzieścia dwa tysiące kroków, ma przystań wcale dogodną latem i zamkniętą między dwoma wysokimi przylądkami. Czatował na niego pod Klupeą młody Lucjusz Cezar z dziesięciu okrętami wojennymi, które zostały w Utyce po wojnie z korsarzami i które Publiusz Atiusz kazał na-

prawić ze względu na obecną wojnę. Lucjusz Cezar tak się przeraził liczbą naszych okrętów, że umknął z pełnego morza, przybił do najbliższego lądu i tam zostawił swój zbrojny trójrzędowiec na wybrzeżu, a sam na piechotę uciekł do Hadrumentum. W tym mieście stał załogą z jednym legionem Gajus Konsydusz Longus. Po ucieczce młodego Lucjusza reszta jego okrętów zawinęła do Hadrumentum, gdy tymczasem za uciekającym ruszył w pościg kwestor Marcjusz Rufus z dwunastu okrętami, które Kurion wyprawił z Sycylii dla osłony transportowców. Rufus znalazł na wybrzeżu porzucony trójrzędowiec, przyciągnął go hółką i z całą flotą wrócił do Kuriona.

Kurion wysłał go przodem do Utyki i sam ruszył tam z wojskiem. Po dwudniowym marszu dotarł do rzeki Bagraady. Legiony zostawił pod dowództwem legata Gajusa Kaniniusza Rebilusa, sam zaś z konnicą poszedł naprzód dla zbadania Obozu Korneliuszowego, który uchodził za miejsce wyborne. Pasma gór zbiega prosto w morze, stoki ma strome i spadziste, tylko w kierunku Utyki nieco łagodniejsze. Od Utyki jest oddalone w prostej linii mało co więcej nad trzy tysiące kroków. Lecz na tej drodze jest strumień, którym morze wpływa w głąb lądu, i cała okolica rozlewa się szerokim moczarem: kto go chce ominąć, musi nakładać drogi o jakie sześć tysięcy kroków. Rozejrzawszy się w okolicy, spostrzegł Kurion obóz Warusa, łączący się z murami i miastem przy tak zwanej bramie Bela. Był on doskonale położony, gdyż z jednej strony osłaniała go Utyka, z drugiej stojący przed miastem teatr o potężnych podmurowaniach, tak że dojście do obozu było trudne i wąskie. Zauważył również na drogach ciżbę ludzi, którzy gorączkowo zwozili ze wsi do miasta swój dobytek. W lot posyła tam konnicę, by obłowić się łatwą zdobyczą, lecz jednocześnie, na rozkaz Warusa, śpieszy z miasta odsiecz z sześciuset jeźdźców numidyjskich i około czterystu pieszych, których kilka dni temu posłał mu do Utyki król Juba. Króla łączył z Pompejuszem odziedziczony po ojcu związek gościnności, a z Kurionem miał zatarg, gdyż ów, jako trybun ludu, postawił wniosek o zajęcie królestwa Juby. Między obu oddziałami konnicy zawiązała się walka, lecz Numidowie nie mogli wytrzymać naszego natarcia i gdy ich około stu dwudziestu padło, reszta wycofała się do obozu. Z nadejściem okrętów wojennych Kurion kazał ogłosić statkom handlowym, których około dwustu stało w Utyce, że uzna za nieprzyjaciela każdego, kto natychmiast nie odprowadzi swego statku do Obozu Korneliuszowego. Na skutek tego ogłoszenia wszystkie w jednej chwili podnoszą kotwicę, opuszczają Utykę i płyną tam, dokąd im kazano. Tym sposobem Kurion zaopatrzył swoje wojsko we wszelki dostatek.

Po czym wraca do obozu nad Bagraadą, gdzie okrzykami całego wojska zostaje obwołany imperatorem, a nazajutrz przeprowadza je pod Utykę i tam rozbija namioty. Jeszcze nie ukończono wałów, gdy jeźdźcy stojący na czatach donoszą, że do Utyki zdążają wielkie posiłki od króla - konnica i piechota. Jakoż dała się widzieć gęsta chmura kurzu, a wnet wyłoniły się przednie straże. Zaskoczony tą nowiną Kurion wysyła najpierw konnicę, by zatrzymała nieprzyjaciela, odwołuje jak najprędzej żołnierzy od robót i szykuje swoje legiony. Konnica rozpoczyna bitwę i zanim legiony zdołały się ustawić i rozwinąć, już posiłki nieprzyjacielskie zatrzymane i w rozsypce, ponieważ nie przewidując żadnego niebezpieczeństwa, szły bezładną kupą. Ich konnica nie poniosła prawie żadnych strat, jako że wzdłuż wybrzeża prędko zbiegła do miasta, ale piechoty spora liczba poległa.

Następną nocą dwaj centurionowie ze szczepu Marsów razem z dwudziestu dwoma swoimi ludźmi zbiegli do Atiusza Warusa. Czy to, że tak naprawdę sądzili, czy dla schlebienia Warusowi - albowiem wierzymy chętnie w to, czego pragniemy, i mamy nadzieję, że inni podzielają nasze uczucia - ci zbiegowie twierdzili, jakoby całe wojsko było wrogie Kurionowi i że trzeba koniecznie, by się Warus pokazał nawiązał osobiste rozmowy z żołnierzami. Idąc za tą radą, Warus nazajutrz rankiem wyprowadził legiony z obozu. To samo uczynił Kurion i, oddzieleni od siebie niewielką doliną, sprawiają szyki. Był w wojsku Warusa Sekstus Kwinktyliusz Warus, którego widzieliśmy już w Korfinium: Cezar go wypuścił, a on przybył do Afryki, Kurion zaś miał te legiony, które przedtem Cezar zabrał pod Korfinium i w których z wyjątkiem paru centurionów wszyscy pozostali na swoich stanowiskach. Skorzystał z tego Kwinktyliusz i obchodząc szyki Kuriona zaczął zaklinać żołnierzy, żeby nie zapominali przysięgi, jaką złożyli dawniej Domicjuszowi i jemu jako kwestorowi, i żeby nie bili się z tymi, z którymi dzielili wspólne losy w tym samym oblężeniu, ani nie walczyli za tych, którzy ich lżą imieniem zbiegów. Dodał jeszcze obietnice nagród, jakich mogliby się spodziewać po jego szczodroblewości, gdyby poszli za nim i za Atiuszem. Na to przemówienie z wojska Kuriona nie odezwał się żaden głos czy za, czy przeciw i tak obaj wodzowie odprowadzili swoich ludzi z powrotem do obozu.

Lecz u Kuriona nawiedził ludzi wielki strach i jeszcze się wzmagał przez różne rozmowy. Każdy sobie coś zmyślał i do tego, co od innych posłyszał, dorzucał coś z własnego lęku. Gdy jeden powtórzył to kilku innym, a ci znów podali dalej, wydawało się, że rzecz została potwierdzona przez wielu. Wojna domowa! Ludzie wolni mogą robić co chcą, iść za kim się im podoba! Te same legiony, co niedawno były u przeciwników! Nawet ludzie z tych samych municypiów znajdują się po przeciwnych stronach - przykładem ci, co uciekli poprzedniej nocy! Lekceważono dobrodziejstwa Cezara, które spowszedniały skutkiem jego stałej hojności. Mówiło się po namiotach i gorsze rzeczy, niektórzy przesadzali się w wymysłach.

Zwołano naradę i Kurion poddał pod rozagę swoje położenie. Były zdania, że wszelkimi środkami trzeba uderzyć na obóz Warusa, gdyż w tym stanie umysłów nie ma nic gorszego nad bezczynność żołnierzy: w końcu lepiej się zmierzyć z losem śmiało i walecznie niż ponieść najsroższą kaźń, skoro ich wszyscy zdradzą i opuszczą. Byli jednak i tacy, którzy radzili o trzeciej straży wycofać się do Obozu Korneliuszowego, aby czas uleczył ducha w wojsku, a jednocześnie aby w razie poważniejszych niepowodzeń mieć łatwiejszy i bezpieczniejszy odwrót na Sycylię dzięki wielkiej liczbie okrętów. Kurion odrzucił obie rady: o ile jednej zbywało na odwadze, o tyle druga grzeszyła jej nadmiarem - ci zalecali najhaniańbniejszą ucieczkę, tamci sądzili, że trzeba się bić nawet w najgorszych warunkach.

„Skąd pewność - mówił - że zdołamy wziąć szturmem obóz tak bardzo obronny i z natury, i przez własne umocnienia? A cóż zyskamy, jeżeli z wielkimi stratami będziemy musieli odstąpić od oblężenia? Jakby wodzowie nie zdobywali sobie przychylności wojsk powodzeniem, a nienawiści - klęską! Czymże jest zmiana obozu, jeśli nie sromotną ucieczką i utratą nadziei, i zniechęceniem wojska? Nie

wolno dopuścić, by ucziwi zaczęli podejrzewać, że się nie ma do nich zbyt wielkiego zaufania, a niecnoty - że się ich boimy - tych bowiem jeszcze rozzuchwałą nasze obawy, a tamtych gorliwość ostygnie. A gdyby nawet - mówił dalej - potwierdziły się pogłoski o wrogich nastrojach w wojsku, co ja osobiście uważam albo za fałszywe, albo nie tak groźne, jak niektórzy mniemają - gdyby to nawet była prawda, czyż nie godzi się raczej jej ukryć i udać, że się o niczym nie wie, niż otwarcie potwierdzić? Czyż nie tak jak rany cielesne należy ukrywać słabe strony swojego wojska, by nie rozdmuchiwać nadziei wrogów? A na domiar radzą nam wyruszyć wśród nocy - chyba po to tylko, by złoczyńcy mieli większą śmiałość w działaniu! Takie bowiem rzeczy dadzą się powściągnąć albo wstydem, albo strachem, a noc ani jednemu, ani drugiemu nie sprzyja.

Słowem, nie jestem ani taki zuchwały, by rzucać się na obóz nieprzyjacielski bez nadziei zwycięstwa, ani tak bojaźliwy, by oddać się rozpacz - sędzę, że trzeba w pierw wszystkim wypróbować, i jestem pewny, że uda mi się wspólnie z wami znaleźć właściwe rozstrzygnięcie."

Po zamknięciu narady zwołuje zgromadzenie żołnierzy. Przypomina im, jaki zapal okazali pod Korfinium Cezarowi, który jdziki ich walnej pomocy zdołał zawładnąć znaczną częścią Italii. „Za waszym przykładem - rzekł - poszły po kolei wszystkie municypia i nie bez powodu Cezar z największą przyjaźnią, a tamci z potępieniem do was się odnieśli. Pompejusz bowiem, choć żadnej bitwy nie przegrał, pod wstrząsającym wrażeniem waszego czynu ustąpił z Italii. Waszej wierności Cezar powierzył i mnie, który mu byłem najdroższy, i prowincję Sycylię, i Afrykę, bez których ani Rzymu, ani Italii utrzymać niepodobna. A jednak znaleźli się tacy, którzy was namawiają, żebyście nas opuścili. Czegoż pragnęliby bardziej jak tego, by nas złapać w sidła, a was wtrącić w haniebną zbrodnię? Czyż w swojej złości mogą coś gorszego wymyślić jak to, żebyście zdradzili nas, którzy uważamy się za waszych dłużników, a dostali się w ręce ludzi, którzy wam przypisują swoją zgubę? A czy naprawdę nie słyszeliście, co zrobił Cezar w Hiszpanii? Dwa wojska rozgromił, dwóch wodzów pokonał, dwie prowincje odbił! I to wszystko w czterdzieści dni! Czyż ci, którzy nie mogli mu się oprzeć, gdy mieli siły nienaruszone, sprostają teraz, kiedy są zniszczeni? A wy, którzyście poszli za Cezarem w chwili, gdy zwycięstwo było niepewne, czy teraz, kiedy los wojny już rozstrzygnięty, pójdziecie za pobitymi - teraz, kiedy czeka was nagroda za wasze usługi? Oni wam mówią, żeście ich opuścili i zdradzili, wypoминаją wam dawniej złożoną przysięgę. Czy to wy opuściliście Domicjusa, czy też on was porzucił? Czyż nie uczynił tego w chwili, kiedy byliście gotowi na najgorszą niedolę? Czyż nie szukał zbawienia w potajemnej ucieczce? Czyż nie łaska Cezara was ocaliła, gdy Domicjusz was zdradził? Jakże mógł was utrzymać przy waszej przysiędze ten, kto porzuciwszy fascę i zrzekłszy się dowództwa, jako człowiek prywatny i jeniec sam dostał się pod cudzą władzę? Byłaby to jakaś nowa religia, gdybyście zaniedbali przysięgi, która was dziś wiąże, i oglądali się na tamtą, którą zniosło poddanie się wodza i jego utrata praw obywatelskich. Ale widzę już: wy Cezara uznajecie, tylko do mnie macie niechęć. O swoich dla was zasługach nie będę mówił, ponieważ są one dotychczas poniżej moich pragnień i waszych oczekiwań. Żołnierz zawsze się domaga nagrody za swój trud z końcem wojny, a jaki on będzie, o tym. nawet wy nie wątpicie. Czemuż jednak miałbym przemilczeć naszą gorliwość w

spełnianiu obowiązków albo nasze powodzenia? Czy was to martwi, że przepравиłem wojsko całe i zdrowe, nie straciwszy ani jednego okrętu? Że flotę nieprzyjacielską rozproszyłem za pierwszym natarciem, ledwośmy tu przyszli? Że dwakroć w ciągu dwóch dni wygrałem bitwę konnicy? Że z portu i z zatoki przeciwnika wyprowadziłem dwieście statków i osiągnąłem to, że ani lądem, ani wodą nie może się on zaopatrywać w żywność? Odrzucając takie szczęście i takich wodzów, wybierajcie hańbę korfińską, ucieczkę z Italii, oddanie obu Hiszpanii, które przesądzą i tę wojnę afrykańską. Ja chciałem się nazywać tylko żołnierzem Cezara, wyście mnie obwołali imperatorem. Jeśli dziś tego żałujecie, zwracam wam waszą łaskę, a wy zwróćcie mi moje imię, aby się nie wydawało, że do zniewagi dodaliście zaszczyt."

Bardzo poruszył żołnierzy. Często przerywali jego mowę i było widać, jak ich boli podejrzenie o niewierność, a gdy wychodził ze zgromadzenia, wszyscy zgodnie wołali, żeby był dobrej myśli: niech się nie waha, niech walczy, a doświadczy ich męstwa i wiary. Wobec zmiany nastrojów Kurion postanowił wydać rozstrzygającą bitwę, skoro się tylko nadarzy sposobność. Nazajutrz wyprowadza wojsko w to samo miejsce co wprzód i ustawia w szyku bojowym. I Warus nie zwleka pokazać się ze swoimi siłami, czy to aby nie przepuścić sposobności, jeśli się zdarzy walczyć w dogodnych warunkach, czy aby znów kusić naszych żołnierzy.

Była kotlina między dwoma wojskami, nie bardzo wielka, ale o trudnym i spadzistym dostępie. Każdy wypatrywał, czy przeciwnik nie zechce jej przekroczyć, bo wtedy można by wejść do bitwy w dogodniejszych warunkach. Nagle zauważono, że z lewego skrzydła Atiusza cała konnica i wśród niej stojąca garść lekkozbrojnych zaczyna się spuszczać w kotlinę. Przeciw nim Kurion wysłała konnicę i dwie kohorty Marucynów. Jeźdźcy nieprzyjacielscy nie wytrzymali pierwszego natarcia i w cwał uciekli do swoich. Lekkozbrojni, pozostawieni swojemu losowi, zostali przez naszych otoczeni i wycięci. Całe wojsko Warusa odwróciło się i patrzyło na ucieczkę i śmierć towarzyszy.

Wtedy Rebilus, legat Cezara, którego Kurion zabrał ze sobą z Sycylii, znany ze swojego doświadczenia w rzeczach wojskowych, zawołał: "Patrz, Kurion! Nieprzyjaciel w popłochu - czemu nie korzystasz ze sposobności?" Kurion zdołał tylko krzyknąć do żołnierzy, by pamiętali o wczorajszych przyrzeczeniach, i pobiegnął naprzód, każąc im iść za sobą. Tak było trudno wyjść z kotliny, że ci, co pierwsi wchodzili na jej zbocze, musieli być podnoszeni w górę przez towarzyszy. Lecz wojsko Atiusza zupełnie się rozprzegło, nikt nie myślał się opierać, wszystkim się zdawało, że już są osaczeni przez konnicę, i zanim od nas padł choć jeden pocisk, zanim nasi zdążyli podejść bliżej, szyki Warusa pierzchły do obozu.

Podczas tej rozsyпки niejaki Fabiusz ze szczepu Pelignów, jeden z niższych centurionów w wojsku Kuriona, który przed innymi dopadł czoła wojsk uciekających, zaczął wielkim głosem wołać po imieniu Warusa, jak gdyby należał do jego żołnierzy i miał mu coś ważnego powiedzieć. Warus w końcu obejrzał się i zatrzymał, pytając, kto zacz i czego chce. Nasz Fabiusz zamierzył się, by go ugodzić w odsłoniętą szyję, i byłby go zabił, gdyby Warus nie odparł ciosu tarczą. Najbliżej z żołnierzy Warusa obskoczyli Fabiusza i zasiaekli. Beładny tłum uciekających zatarasował bramy i zagroził drogę, i

więcej w tym miejscu zginęło niż w niejednej potyczce lub pogoni, a niewiele brakowało, żeby ich wręcz z obozu wyciśnięto. Niektórzy biegli tak wytrwale, że się ocknęli aż w mieście. Obozu nie dało się wziąć z racji jego położenia i obronności, a także i dlatego, że żołnierze Kuriona, idąc do bitwy, nie zabrali rzeczy potrzebnych do szturm. Kurion musiał więc odprowadzić wojsko.

Oprócz Fabiusza nie stracił nikogo, u przeciwników zaś było około sześciuset zabitych i tysięcy rannych. Z odejściem Kuriona wszyscy ranni, a i wielu takich, co udawali rannych, gnani strachem, wykradli się z obozu do miasta. Zauważył to Warus; zmiarkował, że strach szerzy się w całym wojsku, zostawił w obozie trębacza i kilka namiotów dla niepoznaki i o trzeciej straży po cichu wyniósł się do miasta. Następnego dnia Kurion postanowił oblec Utykę i zamknąć ją wałem. Ludność miasta po latach pokoju odwykła od wojny, wielu sprzyjało Cezarowi dzięki pewnym dobrodziejstwom, jakie im wyświadczył, związek obywateli rzymskich składał się z różnych elementów, ostatnie bitwy wszystkich przeraziły. Zaczęto jawnie mówić o kapitulacji i nalegać na Atiusza, by swoim uporem nie ścigał na wszystkich niedoli. Aż tu nagle zjawiają się posłańcy od króla Juby z wiadomością, że on sam nadciąga z wielkimi siłami i żąda, by strzec i bronić miasta. To wszystkich podniosło na duchu. Te same wieści doszły i Kuriona, ale jakiś czas nie dawał im wiary - tak był pewny swojego szczęścia. Już i o powodzeniach Cezara w Hiszpanii przyszły do Afryki ustne relacje i listy. Kurion tak się tym wzbili w dumę, że nie dopuszczał myśli, by król ośmielił się nań uderzyć. Skoro jednak dowiedział się od ludzi godnych zaufania, że wojska królewskie znajdują się o niespełna dwadzieścia pięć tysięcy kroków od Utyki, porzucił sypanie wałów i wycofał się do Obozu Korneliuszowego. Tu kazał zwozić zboże, budować fortyfikacje, gromadzić drzewo i posłał na Sycylię po dwa legiony i resztę konnicy. Obóz był jak najbardziej zdalny do długiej wojny i przez swoje położenie, i przez swoją warowność, jak również dzięki bliskości morza, wody i soli, której było pod dostatkiem, ponieważ właśnie zwieziono wielką jej ilość z niedalekich salin. Nie mogło zabraknąć ani drzewa w tej lesistej okolicy, ani zboża, którego pełne były pola. Zgodzono się więc, że Kurion będzie tu oczekiwał reszty swoich sił, przewlekając wojnę.

Tymczasem daje się słyszeć od ludzi zbiegłych z miasta, że Jubę odwołała z drogi sąsiedzka wojna, że ze względu na zatarg z Leptis zostaje on w swoim królestwie, a do Utyki zbliża się jego prefekt Saburra ze skromnymi siłami. Kurion nieopatrznie dał temu wiarę, zmienił plan i postanowił wszystko rozstrzygnąć jedną bitwą. Gnała go młodość, odwaga, wiara w szczęście, wsparta poprzednimi powodzeniami. Z nastaniem nocy wysłał całą konnicę pod obóz nieprzyjacielski nad Bagraią. Dowodził tam wzmiankowany Saburra, za którym jednak szedł sam król z wszystkimi siłami i stanął obozem o sześć tysięcy kroków dalej. Nasza konnica odbyła swą drogę w ciągu nocy i wpadła na niczego nie spodziewającego się nieprzyjaciela. Numidowie, zwyczajem barbarzyńców, biwakowali bezładnie. Nasi jeźdźcy, wpadłszy na rozspanych i rozproszonych, wybili wielką ich liczbę, reszta w trwodze uciekła. Jeźdźcy wrócili do Kuriona prowadząc jeńców.

O czwartej straży Kurion wyszedł z całym wojskiem, tylko pięć kohort zostawił dla pilnowania obozu. Badani jeńcy na pytania: kto stoi nad Bagraią, odpowiadali, że Saburra. Kurion innych pytań zanie-

chał z niecierpliwości, by jak najprędzej wyruszyć. "Patrzcie - zwrócił się do najbliższych oddziałów - jak to, co mówią jeńcy, zgadza się z doniesieniami zbiegów. Nie ma króla, są tylko słabe siły, które nie mogły się oprzeć garstce jeźdźców! A więc śpieszcie po łup, po sławę, żebyśmy już jak najprędzej mogli myśleć o waszych nagrodach i zapłacie." To, czego dokonali jeźdźcy, było rzeczywiście wielkie, zwłaszcza jeśli porównać ich znikomą liczbę z ścią Numidów, lecz rozpowiadali o tym ze znaczną przesadą - któż bowiem nie lubi się przechwalać? Pokazywali przy tym rozmaite zdobycze, jeńców, konie, aby wszystkim się zdawało, że każda zwłoka tylko opóźnia zwycięstwo. Tak więc zapal żołnierzy szedł w parze z nadziejami Kuriona. Każde on jeźdźcom jechać za sobą i przyspiesza marsz, aby napaść na nieprzyjaciela, zanim ów ochłonie z przestachu. Znużeni trudami całonocnymi jeźdźcy nie mogli nadażyć, coraz któryś zostawał w tyle, ale i to nie osłabiło nadziei Kuriona.

Na wieść o napadzie nocnym Juba posłał Saburze dwa tysiące jeźdźców hiszpańskich i galickich, których zawsze miał przy sobie jako straż przyboczną, oraz te oddziały piechoty, którym najwięcej ufał; sam na czele reszty wojsk i sześćdziesięciu słoni powoli następował. Saburra domyślał się, że za konnicą i Kurion się wkrótce ukaże, wyprowadził swoją jazdę i piechotę i nakazał, by udając trwogę, z wolna się cofali: gdy zajdzie potrzeba, da znak do bitwy i dalsze rozkazy, stosownie do okoliczności. Nadzieje Kuriona potwierdzał teraz fakt, że nieprzyjaciel ucieka. Natychmiast zszedł z całym wojskiem na równinę.

Po dwunastu tysiącach kroków zatrzymał się, aby dać wytchnienie zmęczonym żołnierzom. Wtedy Saburra daje umówiony znak, ustawia szyki, obchodzi poszczególne oddziały rzucając im słowa zachęty. Lecz piechoty używa tylko z daleka i jakby dla pozorów, a wypuszcza konnicę. I Kurion nie zaniedbuje sprawy, zwraca się do żołnierzy, by całą nadzieję pokładali w męstwie. Nie brakło go ani piechocie, mimo że była zmęczona, ani konnicy, choć tak nielicznej i wyczerpanej: było zaledwie dwustu jeźdźców, reszta została po drodze. Za każdym natarciem zmuszali wroga do odwrotu, lecz nie mogli ani go zbyt daleko gonić, ani zbyt popędzać koni.

Tymczasem jazda nieprzyjacielska zaczyna oskrzydlać nasze szeregi i tratować odwróconych żołnierzy. Ilekroć te lub owe kohorty wybiegały z szyku, Numidowie bez szkody dla siebie szybko im umykali, po czym nagłym zwrotem otaczali je i odcinali od głównych sił. Było więc tak samo niebezpiecznie stać w miejscu i trzymać się szeregów, jak wybiegać na los szczęścia. A siły wrogów coraz się wzmacniały nadsyłanymi od króla posiłkami, nasi zaś ślania się z wyczerpania, ranni ani nie mogli wyjść z szeregów, ani ich nie można było przenieść w bezpieczne miejsce, ponieważ byliśmy otoczeni przez konnicę nieprzyjacielską. Zapanowała rozpacz i jak zwykle w ostatniej chwili życia jedni własną śmierć oplakiwali, drudzy polecali swoją rodzinę tym, których los ocali. Pełno było strachu i lamentu.

W powszechnej trwodze, gdy nikt nie słuchał jego gróźb i próśb, Kurion miał już tylko jedną nadzieję i kazał ruszyć ławą na pobliskie wzgórze, zając je i tam się uszykować. Lecz uprzedziła ich konnica Saburry. To doprowadziło naszych do ostatecznej rozpacz: jedni uciekali i ginęli od ciosów konnicy, drudzy padali na ziemię, choć się im nic nie stało. Gnejusz Domicjusz, dowodzący konnicą, z kilkoma

jeźdźcami obstepuje Kuriona i zaklina go, by się ratował ucieczką do obozu, i obiecuje, że go nie opuści. Lecz Kurion oświadcza, że nigdy by się nie pokazał Cezarowi, gdyby stracił wojsko, które mu Cezar powierzył, i walcząc pada. Tylko garść jeźdźców uszła z bitwy, ci natomiast, co znaleźli się na tyłach, aby dać koniom wypocząć, na widok uciekającego wojska wrócili cało do obozu. Piechota została w pień wycięta.

Gdy przyniesiono te nowiny, kwesor Marcjusz Rufus, którego Kurion zostawił w obozie, próbuje dodać odwagi żołnierzom, ale oni błagają i zaklinają go, by ich odwiózł na Sycylię. Przystaje i rozkazuje kapitanom okrętów, by pod wieczór przysłali na wybrzeże wszystkie swoje łodzie. Lecz jedni mówili, że nadchodzą wojska króla Juby, inni, że Warus idzie z legionami, i już nawet widzieli kurzawę na drodze, chociaż nic takiego nie zaszło, jeszcze inni bali się, że zaraz nadleci flota nieprzyjacielska, i taki padł strach, że każdy myślał tylko o własnym ocaleniu. Ci, co byli na okrętach, naglili do odjazdu, a gdy oni ruszyli, za nimi poszli kapitanowie statków handlowych. Tylko parę łódek stawilo się na rozkaz. Na wybrzeżu wszczął się okrutny tłok, ludzie bili się o to, kto pierwszy zejdzie do łodzi, przeciążone łodzie tonęły, inne bały się podpłynąć bliżej.

Tylko nieliczni żołnierze dostali się cało na Sycylię. Byli wśród nich ojcowie rodzin, którym dano pierwszeństwo, czy to z litości, czy że ich szczególnie szanowano, albo tacy, którym się udało dopłynąć do okrętów. Reszta wojska poddała się Warusowi, posławszy doń w nocy centurionów jako pełnomocników. Nazajutrz Juba zobaczył ludzi z tych kohort przed miastem, powiedział, że są jego zdobyczą, i kazał ich zabić, tylko niewielu wybranych odesłał do swojego królestwa. Warus uskarżał się, że król naraził na szwank jego honor, ale nie śmiał się sprzeciwić. Król wjechał na koniu do miasta, poprzedzany przez kilku senatorów, wśród których był Serwiusz Sulpicjusz i Licyniusz Damazyp, w krótkich słowach wydał rozkazy dla Utyki i po paru dniach ze wszystkimi wojskami wrócił do królestwa.

KSIĘGA TRZECIA

Na komicjach, które Cezar zwołał jako dyktator, wybrano na konsulów Juliusza Cezara i P. Serwiliusza, był to bowiem rok, kiedy Cezar mógł zgodnie z prawem zostać konsulem. Po czym kazał wyznaczyć rozjemców, gdyż w całej Italii upadł kredyt i nikt nie spłacał długów. Rozjemcy mieli szacować majątek nieruchomy i ruchomy według wartości przedwojennej i oddawać wierzycielom. W jego przekonaniu był to najlepszy środek, by podtrzymać kredyt dłużników oraz zmniejszyć obawy przed zawieraniem nowych umów, zwyczajne następstwo wojen i domowych zamieszek. Również na skutek odwołania się pretorów i trybunów do ludu zniósł kary pewnej liczby skazanych za przekupstwo przy wyborach na mocy ustawy Pompejuszowej, wydanej w czasach, kiedy Pompejusz stał w mieście załogą ze swoimi legionami, a sądy, załatwiane w jeden dzień, miały innych sędziów do przesłuchiwania, a innych od wyroków.

Ułaskawieni należeli do tych, którzy ofiarowali Cezarowi swe usługi z samego początku wojny, i chociaż z nich nie skorzystał, umiał ocenić ich gotowość. Postanowił więc raczej wyrokiem ludu przywrócić im prawa niż stwarzać pozór, że zawdzięczają to jego łasce: nie chciał się okazać ani niewdzięcznikiem wobec tych, którym miał się odwdzięczyć, ani zuchwalcem przywłaszczającym sobie przywileje ludu. Załatwienie tych spraw, odbycie świąt łatyńskich i wszystkich komie j ów zajęło mu jedenaście dni, po czym złożył dyktaturę i z Rzymu udał się do Brundizjum. Tam nakazał stawić się dwunastu legionom i całej konnicy. Lecz ledwo znalazł tyle okrętów, że z wielką biedą zdołał przeprowadzić 15 000 piechoty i 600 jeźdźców. Tego jednego brakowało mu do rychłego ukończenia wojny. Zresztą i te siły okazały się mniej liczne, gdyż wielu odpadło po tylu wojnach galickich, sporo pochłonęła długa droga z Hiszpanii, a ciężka jesień w Apulii i w okolicy Brundizjum po wybornym klimacie Galii i Hiszpanii podcięła zdrowie całego wojska. Pompejusz miał rok czasu do przygotowania swych sił. Wolny od działań i bezpieczny od wrogów, zebrał wielką flotę z Azji i z Wysp Cykladzkich, z Korcyry, Aten, Pontu, Bitymii, Syrii, Cylicji, Fenicji i Egiptu, a równie wielką budowano we wszystkich stronach na jego zamówienia. Ogromne pieniądze wymusił na królach, dynastach, tetrarchach Azji i Syrii oraz na wolnych ludach Achai, wielkie również sumy kazał sobie wypłacić przez towarzystwa dzierżawców podatków z tych prowincji, nad którymi miał władzę. Utworzył osiem legionów z obywateli rzymskich, w tym pięć, które przywiózł z Italii, jeden z weteranów z Cylicji, który, jako że z dwóch sformowany, nazywał bliźniaczym, jeden z Krety i Macedonii z wysłużonych żołnierzy, którzy, zwolnieni przez poprzednich dowódców, osiedli w tych prowincjach, wreszcie dwa z Azji, zaciągnięte staraniem konsula Lentulusa. Poza tym moc ludzi z Tesalii, Beocji, Achai, Epiru rozdzielił po legionach dla ich uzupełnienia; dołączył do nich i żołnierzy Antoniusza. Oczekiwał jeszcze z Syrii dwóch legionów pod dowództwem Scypiona. Łuczników miał 3000 z Krety, Lacedemonu, Pontu, Syrii i z innych krajów, procarzy dwie kohorty po 600 ludzi, jeźdźców siedem tysięcy. Z tych 600 Galów przywiózł Dejotar - 500 Ariobarzanes z Kapadocji, tyleż posłał pod wodzą

swego syna Sadali tracki Kotys, z Macedonii było dwustu, którymi dowodził Rascypolis, znakomitej dzielności; pięciuset gabinianów z Aleksandrii, samych Galów i Germanów, których tam A. Gabiniusz pozostawił jako straż przyboczną króla Ptolemeusza; przyprowadził ich wraz z flotą Pompejusz syn; ośmiuset zebrał z niewolników i pastuchów, częścią własnych, częścią należących do jego bliskich, trzystu dali Tarkondariusz Kastor i Domnilaus z Galogrecji, z których jeden sam przybył, drugi posłał syna; dwustu przysłał z Syrii Antioch Komageński, któremu Pompejusz wyznaczył wielkie nagrody: w tej liczbie było wielu hipotoksotów, czyli konnych łuczników. Do tego trzeba dorzucić Dardanów, Bessów, byli to częścią najemnicy, częścią szli z rozkazu lub zjednani łaskami, za tym Macedończyków, Tesalów i ludzi z innych szczepów i krajów - wszystko razem stanowiło wyżej podaną liczbę. Zimować postanowił w Dyrachium, Apolonii i wszystkich morskich miastach, aby bronić Cezarowi przeprawy morzem, i w tym celu Wzdłuż wszystkich wybrzeży rozstawił flotę. Nad egipskimi okrętami miał dowództwo Pompejusz syn, nad azjatyckimi D. Leliusz i G. Triariusz, nad syryjskimi G. Kasjusz, nad rodyjskimi G. Marcellus wspólnie z G. Koponiuszem, nad liburnijską i achajską flotą Skryboniusz Libon i M. Oktawiusz. Naczelne jednak dowództwo sił morskich miał M. Bibulus. Cezar zaraz po przybyciu do Brundizjum przemówił do żołnierzy. Powiedział im, że skoro doszli już do kresu trudów i niebezpieczeństw, nie powinni się troszczyć o czeladź i bagaże, które zostaną w Italii. Wsiądą na okręty wolni od wszelkich ciężarów, by jak najwięcej zmieściło się żołnierzy. Za wszystko niech im starczy nadzieja na zwycięstwo i hojność wodza. Odpowiedział mu powszechny okrzyk, by rozkazywał, co chce, i że każdy rozkaz wykonają z niezachwianym spokojem. W przeddzień nonów styczniowych podniósł kotwice, załadowawszy, jak wyżej wspomniano, siedem legionów. Nazajutrz przybył do ziemi Cerauniów. Wśród skał i innych miejsc niebezpiecznych dobił w końcu do spokojnej przystani, omijając wszystkie porty, które - jak sądzono - znajdowały się w rękach przeciwników, i pod miejscowością Paleste wysadził żołnierzy, doprowadziwszy co do jednego wszystkie okręty. W Orikum byli Lukrecjusz Wespillo i Minucjusz Rufus z 18 azjatyckimi okrętami, którymi dowodzili z rozkazu D. Leliusza, Bibulus zaś ze 110 okrętami w Korcyrze. Lecz ani oni nie byli pewni swych sił, by odważyć się na wypłynięcie z portu, chociaż Cezar miał dla obrony wszystkie 12 okrętów wojennych, w tym cztery kryte, ani Bibulus dość szybko nie nadciągnął, gdyż jego okręty były nieprzygotowane, a wiosłarze rozproszeni. Stało się to dlatego, że Cezar wcześniej ukazał się przy lądzie, zanim w ogóle dotarła tam wieść o jego przeprawie. Wysadziwszy żołnierzy, Cezar tej samej nocy odsyła okręty z powrotem do Brundizjum, by przewieźć pozostałe legiony i konnicę. To zadanie powierzono legatowi Fufiuszowi Kalenowi, z nakazem, by się starał jak najprędzej przewieźć legiony. Lecz okręty wypłynęły z opóźnieniem i nie wyzyskawszy nocnej pory, doznały klęski w drodze powrotnej. Bibulus bowiem, dowiedziawszy się w Korcyrze o przybyciu Cezara, w nadziei, że uda mu się zastąpić drogę bodaj części okrętów z transportem, wpada na puste. Dostało mu się w ręce około 30 i na nich wywiera gniew za swoją niedbałość, którą głęboko odczuł. Wszystkie podpala i w ogniu gubi zarówno żeglarzy, jak i właścicieli okrętów, spodziewając

się innych odstraszyć okrucieństwem kary. Spełniwszy to dzieło, zajmuje swą flotą wszystkie przystanie i wybrzeża wzdłuż i wszerz od Sasony aż do Kuryckiego Portu i z wielką dokładnością rozstawia patrole morskie.

Sam w najsrozszej zimie czuwa na okrętach, nie gardząc żadną pracą ni służbą, i uważa, by Cezar nie mógł znikąd dostać posiłków, na które liczy. Po odpłynięciu statków liburnijskich z Ilirii M. Oktawiusz ze swoimi okrętami przybywa do Salon. Tam, podjudziwszy Dalmatów i innych barbarzyńców, odwraca Issę od sojuszu z Cezarem, nie mogąc zaś poruszyć związku obywateli rzymskich w Salonach ani obietnicami, ani groźbą niebezpieczeństwa, postanawia zdobyć miasto. A jest ono obronne zarówno dzięki swojemu położeniu, jak i wzgórzom, które je osłania. Obywatele rzymscy niezwłocznie pobudowali wieże drewniane i w nich się obwarowali, lecz siły mieli niedostateczne do obrony i ponieważ było ich mało, wciąż padali ranni. Chwycili się więc ostatecznych środków: wszystkich dorosłych niewolników wyzwolili, a wszystkim kobietom ucięli włosy na powrozy do machin. Oktawiusz zaś otoczył miasto pięciokrotnym pierścieniem wałów, przystępując jednocześnie do blokady i szturmów. Tamci, gotowi na wszystko, cierpieli okrutnie z niedostatku zboża. W tej jedynie sprawie posłali do Cezara z prośbą o pomoc, co do innych trudności radzili sobie sami, jak mogli. Po długim czasie, kiedy skutkiem przeciągającego się oblężenia nastąpiło rozprężenie wśród żołnierzy Oktawiusza, Salonijczycy skorzystali z pory południowej, kiedy w obozie wszyscy się rozchodzą, rozstawili po murach chłopców i kobiety, by wszystko wyglądało jak co dzień, i ściągawszy świeżo wyzwolonych, wtargnęli do najbliższego pierścienia szanów Oktawiusza. Zdobywszy go, tym samym impetem wdarli się w drugi, wreszcie wyparli ich ze wszystkich szanów, wielką liczbę wycięli, reszta wojska wraz z Oktawiuszem musiała szukać ratunku na okrętach. Taki był koniec oblężenia. I zima już się zbliżała, a Oktawiusz, poniosłszy takie straty, zwątpił o zdobyciu miasta i wycofał się do Dyrachium, do Pompejusza.

Wspomnieliśmy, że L. Wibuliusz Rufus, prefekt Pompejusza, dwukrotnie dostał się w ręce Cezara i dwukrotnie został wypuszczony, raz pod Korfinium, drugi raz w Hiszpanii. Wyświadczywszy mu te dobrodziejstwa, uważał go Cezar za odpowiedniego, by z jego polecenia posłował do Pompejusza, rozumiejąc, że i u Pompejusza zażywa szacunku. Tego posłania treść była następująca: Obaj powinni skończyć ze swoim uporem i złożyć broń, nie kusząc więcej losu. Dość wielkie spadły na obu ciosy, by mieli stąd naukę i ostrzeżenie, że trzeba się lękać i następnych. Pompejusz wyparty z Italii, stracił Sycylię, Sycylię, Sycylię, Sycylię, obie Hiszpanie, a w Italii i Hiszpanii 130 kohort obywateli rzymskich; Cezara dotknęła śmierć Kuriona, klęska wojska afrykańskiego, kapitulacja pod Kuryktą. Niechże więc oszczędzą i siebie, i republikę, skoro już przez swoje niepowodzenia dowiedli, ile znaczy w wojnie los. To jedyna chwila do układów o pokój, gdy każdy ufa w swoje siły i obaj wydają się sobie równi; gdyby bowiem któremuś z nich los trochę poszczęścił, nie przystałby na warunki pokoju ten, kto by wyglądał na silniejszego, ani by się nie zadowolił równym podziałem ten, kto by wierzył, że wszystko otrzyma. Co do warunków pokoju, ponieważ nie mogli się przedtem pogodzić, zażądać ich winni od senatu i ludu. Tymczasem muszą oni i republika uznać za słuszne, jeśli każdy natychmiast na

zgrupowaniu przysięgnie, że w ciągu najbliższych trzech dni rozpuści wojsko. Oddawszy broń i posiłki, na których teraz się opierają, z konieczności zadowolą się wyrokiem senatu i ludu.

Wibuliusz, złożony to oświadczenie, uznał za nie mniej konieczne powiadomić Pompejusza o nagłym przybyciu Cezara, aby ów mógł zastanowić się nad położeniem, zanim rozważy propozycje pokojowe. Jadąc więc bez przerwy dzień i noc i dla pośpiechu w każdym mieście zmieniając zaprzęgi, dociera do Pompejusza z wieścią o zbliżaniu się Cezara. Pompejusz był w tym czasie w Kandawii, w drodze z Macedonii na leże zimowe do Apolonii i Dyrachium. Lecz zafrasowany nowym obrotem rzeczy, szybkimi marszami zaczął dążyć do Apolonii, w obawie, żeby Cezar nie zajął miast nadmorskich. Cezar zaś, wysadziwszy żołnierzy, tego samego dnia rusza do Orikum. Skoro tam przybył, L. Torkwatus, który z rozkazu Pompejusza był komendantem miasta i trzymał załogę złożoną z Partynów, zamknął bramy i usiłował się bronić. Lecz gdy rozkazał Grekom wyjść na mury i chwycić za broń, oświadczyli, że przeciw władzy narodu rzymskiego walczyć nie będą, mieszczanie zaś dobrowolnie nawet chcieli wpuścić Cezara. Torkwatus, zwątpiwszy o jakiegokolwiek odsiecz, otworzył bramy i wraz z miastem poddał się Cezarowi, który nie wyrządził mu żadnej krzywdy.

Po zajęciu Orikum Cezar niezwłocznie rusza ku Apolonii. Na słuchy o jego zbliżaniu się L. Staberiusz, który miał tam komendę, zaczyna sprowadzać wodę na zamek, obwarowywać go i żądać zakładników od Apoloni jeżyków. Ci jednak odmawiają, zapowiadając, że nie zamkną bram przed konsulem ani nie sprzeciwią się temu, co postanowiła cała Italia i naród rzymski. Wobec takich nastrojów Staberiusz ucieka potajemnie, Apoloni j czy cy zaś wyprawiają do Cezara posłów i oddają miasto. Za nimi idą Bylidycjycy, Amantyni, inne sąsiednie państewka, wreszcie z całego Epiru przychodzą poselstwa z poddaniem się jego rozkazom.

Pompejusz na wieść o tym, co zaszło w Orikum i Apolonii, lękając się o Dyrachium, zdąża tam dziennymi i nocnymi marszami. Skoro się rozniosło, że Cezar nadchodzi, a Pompejusz pędził co tchu, dzień z nocą łącząc i ani chwili nie ustając w drodze, taka trwoga padła na wojsko, że wszyscy niemal ludzie z Epiru i sąsiednich okolic opuścili stany, wielu broń porzuciło, jakby to nie był marsz, ale odwrót. Gdy nie opodal Dyrachium Pompejusz zatrzymał się i kazał odmierzyć miejsce na obóz, wojsko jeszcze nie ochłonęło z przestachu. Wtedy to pierwszy wystąpił Labienus i przysiągł, że go nie opuści i przyjmie wszystko, co Pompejuszowi los wyznaczy. To samo zaprzysięgają inni legaci, za nimi trybunowie i setnicy i taką też przysięgę składa całe wojsko. Cezar, któremu Pompejusz odciął drogę do Dyrachium, wstrzymuje pochód i zakłada obóz nad rzeką Apsus w kraju Apoloni jeżyków, aby pod osłoną fortyfikacji i posterunków oba tak dlań zasłużone miasta były bezpieczne. Tu postanawia oczekiwać reszty legionów z Italii i przezimować pod namiotami. To samo czyni Pompejusz i, założony obóz po drugiej stronie rzeki Apsus, wprowadza doń wszystkie swoje wojska wraz z posiłkowymi. W Brundizjum Kalenus stosownie do rozkazów Cezara zbiera ile tylko może okrętów, załadowuje legiony i jeźdźców, podnosi kotwice. Ledwo jednak wypłynął z portu, otrzymuje pismo od Cezara z wiadomością, że porty i wybrzeża są zajęte przez flotę nieprzyjacielską. Wraca więc do portu, odwoławszy z drogi wszystkie okręty. Jeden tylko nie usłuchał rozkazu Kalena, ale był to okręt prywatny i bez

załogi wojskowej: dotarł do Orikum, gdzie go Bibulus schwytał, wszystkich ludzi, zarówno niewolników, jak i wolnych, nie wyłączając chłopców nieletnich, skazał na śmierć i wymordował co do jednego. Tak od krótkiej chwili i szczególnego przypadku zawisło zbawienie całego wojska.

Bibulus, jak wyżej wspomniano, stał z flotą pod Orikum i tak jak Cezara oddzielał od morza i portów, tak sam był odcięty od lądu, gdyż dzięki rozstawionym załogom Cezar miał w swych rękach całe wybrzeże. Bibulus nie mógł zaopatrywać się w drzewo ani w wodę ani okrętów uwiązać u brzegu. Jego flota znalazła się w trudnym położeniu, cierpiąc dotkliwy niedostatek niezbędnych rzeczy, tak dalece, że zarówno drzewo i wodę, jak i inne zapasy musiano sprowadzać ciężarowymi okrętami z Korcyry, a raz zdarzyło się nawet, że wskutek bardziej burzliwej pogody nie było innego napoju prócz rosy zebranej ze skór, którymi okrywano okręty. Znosili jednak te przeciwności wytrwale i spokojnie, nie przychodziło im na myśl, by zaniechać blokady wybrzeży i portów. Wśród takich kłopotów Libon połączył się z Bibulusem. Natychmiast obaj z okrętów nawiązują rozmowę z legatami Manliuszem Acyliuszem i Statuszem Murkiem, z których jeden miał komendę wałów miejskich, drugi dowodził załogami okolicy. Oświadczają, że chcieliby pomówić z Cezarem o najważniejszych sprawach, jeśli udzieli im posłuchania. Dodają kilka słów, jakby na dowód, że chodzi im o układy. Domagają się tymczasem rozejmu, co też uzyskują. To bowiem, co przynosili, wydawało się rzeczą poważną i wiedziano, jak bardzo Cezar tego pragnie, a można było również sądzić, że coś wynikło z misji Wibuliusza. Cezar ruszył właśnie z jednym legionem na objęcie dalszych okolic i usprawnienie dowozu zboża, którego był wielki brak. Znajdował się w Butrotum, mieście leżącym naprzeciw Korcyry gdy doszły go listy Acyliusza i Murka z prośbami Libona i Bibulusa. Natychmiast porzuca swój legion i wraca do Orikum. Po przybyciu wzywa tamtych na rozmowę. Zjawia się Libon i nawet nie usprawiedliwia Bibulusa, ponieważ był on znany z popędliwości, a miał z Cezarem osobiste zatargi z czasów pretury i edylatu, Libon więc odsunął go od rozmowy, aby rzecz najwyższej nadziei i największego pożytku przez jego nieobliczalność nie poszła na marne. Libon oświadczył, że zawsze było ich najgorętszym pragnieniem, by spór zażegnano i złożono oręż, lecz nie mieli do tego pełnomocnictwa, gdyż zgodnie z uchwałą rady najwyższej władzę, tak w wojnie, jak i we wszystkich sprawach, oddano Pompejuszowi. Lecz skoro poznają warunki Cezara, prześlą je Pompejuszowi z dodaniem własnych uwag, on zaś resztę załatwi. Tymczasem trwać będzie zawieszenie broni, póki odpowiedź nie nadejdzie, i obie strony powstrzymają się od wyrządzania sobie jakichkolwiek szkód. Dorzuca jeszcze parę słów o istocie sporu, o swoich siłach i posiłkach.

Na to ostatnie Cezar ani wtedy nie uznał za stosowne odpowiadać, ani teraz nie widzimy dostatecznej przyczyny, aby słowa Libona upamiętniać. Żądał natomiast Cezar, by mógł wysłać do Pompejusza posłów nie narażając ich na niebezpieczeństwo, co albo sami mu poręczą, albo ich osobiście doprowadzą do Pompejusza. Co się tyczy zawieszenia broni, położenie wojenne tak wygląda, że ich flota więzi jego okręty i posiłki, on zaś oddziela ich od wody i ziemi: jeśli chcą, by im pofolgował, niechaj sami zniosą patrole morskie; jeśli je zatrzymają i on pozostanie na swoich pozycjach. Niemniej jednak można prowadzić układy, choćby nawet obie strony nie zeszły ze swoich stanowisk, i nie powinno to

być żadną przeszkodą. Libon nie chciał ani przyjąć posłów Cezara, ani poręczyć ich bezpieczeństwa, lecz całą sprawę odsyłał do Pompejusza. Na jedno tylko nalegał, mianowicie jak najgwałtowniej dopominał się o za wieszenie broni.

Skoro Cezar przejrzał, że cała przemowa Libona zmierzała do usunięcia bieżącego niebezpieczeństwa i niedostatku, a nie przynosiła żadnej nadziei lub próby pokoju, wrócił do rozważania dalszych planów wojny. Bibulus, od wielu dni odepchnięty od ładu, z zimna i trudów poważnie się rozchorował, a że ani leczyć się nie mógł, ani nie chciał porzucić przyjętych na siebie obowiązków, nie zdołał przetrzymać choroby. Z jego śmiercią nikomu nie dostało się naczelne dowództwo, lecz każdy oddzielnie rzucił swoją flotą. Wibuliusz, gdy ustał popłoch wywołany nagłym zjawieniem się Cezara, przy pierwszej sposobności zajął się powierzoną sobie misją, wzięwszy do pomocy Libona, L. Lukcejusza i Teofana, z którymi Pompejusz zwykł się być porozumiewać w najważniejszych sprawach. Po pierwszych jednak słowach Pompejusz mu przerwał i nie dał więcej mówić. "Cóż mi - rzekł - po życiu albo obywatelstwie, jeśli będzie się zdawało, że posiadam je z łaski Cezara? A takiego mniemania uchylić nie sposób, gdy do Italii, skąd wyszedłem jako wódz, powrócę - jak ułaskawiony wygnaniec." Dowiedział się o tym Cezar po skończonej wojnie od osób, które były obecne przy rozmowie. Wówczas jednak starał się coraz innymi środkami działać na rzecz pokoju.

Obozy Pompejusza i Cezara rozdzielała tylko rzeka Apsus i żołnierze prowadzili między sobą częste rozmowy, podczas których na zasadzie wzajemnej ugody nie padł ani jeden pocisk. Cezar posłał legata P. Watyniusza nad sam brzeg rzeki, aby jak najbardziej agitował za pokojem. Ten raz po raz wielkim głosem wołał: czy nie godzi się obywatelom do obywateli wysyłać delegacji, co nawet dozwolono zbiegom z przełęczy pirenejskich i rozbójnikom, zwłaszcza że idzie o to, by obywatele przestali się bić z obywatelami? Mówił wiele i tonem błagalnym, jak należało, skoro miał na względzie swoje i wszystkich zbawienie, a oba wojska słuchały w milczeniu. Odpowiedziano wreszcie z przeciwnej strony, że Aulus Warron jest gotów nazajutrz przyjść na rozmowę, by rozpatrzeć, w jaki sposób zapewnić posłom bezpieczeństwo i swobodę układów. Ustalono porę tego spotkania. Nazajutrz z obu stron zgromadziły się wielkie tłumy i wielkie było oczekiwanie, widziało się, jak wszyscy z napięciem myślą o pokoju. Po czym z tłumu wychodzi Labienus i łagodnym tonem mówi o pokoju, potem zaczyna się kłócić z Watyniuszem. Nagle ich rozmowę przerywają zewsząd rzucane pociski, których Watyniusz uniknął, zasłonięty tarczami żołnierzy. Było jednak kilku rannych, wśród nich Korneliusz Balbus, L. Plocjusz, M. Tyburcjusz, jeszcze paru centurionów i żołnierzy. Wtedy Labienus: "Przestańcie nareszcie mówić o zgodzie, albowiem nie ma dla nas pokoju, póki nie przyniosą nam głowy Cezara!"

W tym samym czasie pretor M. Celiusz Rufus, gdy wszczęto sprawę dłużników, zaraz w pierwszych dniach urzędowania umieścił swój trybunał obok krzesła G. Treboniusza, pretora miejskiego, i jeśli kto chciał się odwołać od oszacowania i spląt naznaczonych przez arbitra stosownie do ostatnich zarządzeń Cezara, obiecywał mu pomoc i poparcie. Lecz dzięki sprawiedliwości samego dekretu i ludzkim postępom Treboniusza, który uważał, że w tych sprawach sądy muszą być łagodne i umiar-

kowane, niepodobna było znaleźć takich, którzy by dali początek odwołaniom. Być może bowiem jest małodusznością powoływać się na ubóstwo, skarżyć się na własną niedolę czy nieszczęśliwe czasy i przedstawiać trudności licytacji, któż jednak jest tak zuchwały i czelny, by posiadając nienaruszony majątek, nie płacił swych długów? Nikt więc się nie zgłaszał. A Celiusz, dalej idąc obroną drogą, okazał się twardszym nawet od tych, w których interesie działał, i aby się nie wydawało, że na próżno wszedł w haniebną robotę, ogłosił ustawę zezwalającą na spłatę długów w ciągu sześciu lat bez procentów.

Wobec sprzeciwu konsula Serwiliusza i innych wysokich urzędników, widząc zresztą, że efekt jest nadspodziewanie mały, szukał Celiusz innych sposobów zjednania sobie ludzi. Zniósł poprzednią ustawę i ogłosił dwie nowe: jedną - darowywał lokatorom czynsze za mieszkanie, drugą - umarzał dawne długi. Podburzył tłum do napaści na G. Treboniusza i zepchnął go z trybunału; było wielu rannych. Konsul Serwiliusz zdał o tych rzeczach sprawę senatowi, który uchwalił usunąć Celiusza z urzędu. Na podstawie tego dekretu konsul zabronił mu wstępu do senatu, a kiedy ów usiłował przemawiać na zgromadzeniu, sprowadził go z mównicy. Rozjątrzony bolesną znie wagą, Celiusz udał, że wybiera się do Cezara, potajemnie zaś posłał gońców do Milona, który był skazany za zabójstwo Kłodiusza, i wezwał go do Italii.

Milon rozporządzał resztkami drużyny gladiatorskiej, które mu zostały po wspaniałych igrzyskach. Celiusz zmówiwszy się z nim, wysłał go naprzód w okolice Turiów, aby tam tworzył bandy z pastuchów. Sam przybył do Kasylinum w chwili, gdy w Kapui przyłapano właśnie jego sztandary i broń wraz ze służbą przyslaną z Neapolu dla przygotowania zdradzieckiego napadu na miasto. Kiedy odkryto jego zamiary, wzbroniono mu wstępu do Kapui, a związek obywateli rzymskich chwycił za broń i uznał go za wroga. Widząc niebezpieczeństwo porzucił swoje plany i zawrócił z tej drogi. Tymczasem Milon rozsyłał pisma po okolicznych municypalach, głosił, że działa na rozkaz i w imieniu Pompejusza, którego polecenia miał mu przywieźć Wibuliusz, i agitował wśród ludzi najbardziej zadłużonych. Nie mogąc jednak nic wskórać, rozpuścił kilka ergastulów i wziął się do zdobywania Kosy w ziemi turyjskiej. Tam, gdy legion przysłany z pretorem Kw. Pediuszem zginął od kamienia, rzuconego z murów. Celiusz wybierając się - jak rozповідаł - do Cezara, przybył do Turiów. Zaczął kusić najwybitniejsze osobistości municypalne, obiecywał pieniądze jeźdźcom Cezara, Galom i Hiszpanom, którzy tam stali załogą. Na koniec go zabito. Zanosilo się z początku na wielkie rzeczy, które urzędników odwracały od obowiązków, zaprzętały umysły ludzkie, trzymały Italię w napięciu, a wszystko raptem znalazło rychłe i łatwe rozwiązanie. Libon, który dowodził flotą w liczbie 50 okrętów, wypłynął z Orikum, dotarł do Brundizjum i zajął wyspę położoną naprzeciw portu, sądząc, że lepiej obsadzić jedyne dla nas wyjście niż patrolować wszystkie wybrzeża i przystanie. Zjawiwszy się tak nagle, zaskoczył niektóre transportowce i spalił, a jeden, z ładunkiem zboża, zabrał. Wielkiego strachu napędził naszym i nocą wysadziwszy na ląd łuczników i piechotę, zniósł posterunek kawalerii. Widząc, jak wielką korzyść daje mu zajęta pozycja, w liście do Pompejusza pisał, by jeśli chce, odwołał i dał do naprawy resztę okrętów, bo on sam ze swoją flotą odetnie Cezarowi wszelkie posiłki.

Był w tym czasie Antoniusz w Brundizjum. Ufając dzielności swych żołnierzy, zebrał około 60 łodzi ze swych okrętów, zaopatrzył je po bokach w plecionki i przedpierznie, wsadził do nich wybranych żołnierzy i rozmieścił je oddzielnie w różnych punktach wybrzeża, a dwa trójrzędowce, które zamówił w Brundizjum, kazał wprowadzić na redę, rzekomo dla przeszkolenia wiosłarzy. Kiedy Libon zobaczył, jak śmiało podpływają, wysłał ku nim pięć czterorzędowców, w nadziei, że je przychwyci. Gdy się one zbliżyły do naszych okrętów, nasi weterani zemknęli do portu, a tamci, porwani zapałem, zaczęli ich ścigać niebacznie. Wnet ze wszystkich stron łodzie Antoniusza na dany znak uderzyły na wrogów i pierwszym impetem zagarnęły jeden z czterorzędowców razem z majtkami i załogą woj-skową, resztę zmusiły do sromotnej ucieczki. Porażkę powiększyło jeszcze i to, że jeźdźcy, których Antoniusz rozstawił na wybrzeżu morskim, odcinali im dostęp do wody. Zmuszony koniecznością i upokorzony, Libon odstąpił od Brundizjum i zaniechał oblężenia.

Wiele już miesięcy minęło i zima miała się ku końcowi, a z Brundizjum nie nadchodziły do Cezara okręty z legionami. Cezar uważał, że przepuszczono niejedną sposobność, bo przecież często zdarzały się wiatry, którym trzeba się było powierzyć. Im dłużej się to przeciągało, tym pilniejsi byli w czuwaniu dowódcy iloty nieprzyjacielskiej, coraz większą mieli pewność, że nie dopuszczą nas do przeprawy. Pompejusz strofował ich w częstych listach, że od razu nie zatrzymali Cezara, niech mu więc bodaj przeszkodzą w połączeniu się z resztą wojska. Z dnia na dzień, z nastaniem łagodnych wiatrów, mogły się pogorszyć warunki. Z tych względów napisał Cezar do swoich w Brundizjum bardzo ostro, by z pierwszym pomyślnym wiatrem nie zmarnowali sposobności i skierowali się ku brzegom Apoloniatów albo Labeatów, gdzie mogą wypchnąć okręty na ląd. Tam bowiem najrzadziej zagłędała patrolująca flota, która nie ośmielała się zapuszczać zbyt daleko od portów.

Dowództwo floty w Brundizjum, pod kierunkiem M. Antoniusza i Fufiusza Kalena, zdobywa się wreszcie na odwagę i przy zachęcie samych żołnierzy, którzy dla Cezara gotowi byli nie cofnąć się przed żadnym niebezpieczeństwem, spuszcza okręty. Wiatr południowy już na drugi dzień doprowadza je na wody Apolonii. Skoro ich dostrzeżono z lądu, Koponiusz, który w Dyrachium dowodził flotą rodyjską, wyprowadza z portu swoje okręty. Wiatr ustał i Koponiusz już zbliżał się do naszej floty, gdy nagle ten sam wiatr południowy wzmógł się, dając naszym osłonę. To jednak nie odstręczyło Koponiusza, spodziewał się pracą i wytrwałością żeglarzy przemóc siłę wichury i kiedy nasi, gnani mocnym wiatrem, mijali Dyrachium, on bynajmniej nie zaprzestał pościgu. Szczęście nam dotąd służyło, lecz obawiać się należało ataku floty, gdyby wiatr ustał. Znalazłszy się więc w przystani, która nazywa się Nimfeum, o 3000 kroków za Lissem, wprowadzili tam nasi okręty. Owa przystań jest zasłonięta od wiatru południowo-zachodniego, ale od południowego nie jest bezpieczna, oni jednak uważali, że mniejsze zło grozi im od burzy niż od floty. Ledwo tam weszli, niewiarygodnym szczęściem, wiatr, który dwa dni dął od południa, odwrócił się ku zachodowi.

Tu warto było widzieć nagłą przemianę losu. Ci, którzy dopiero co lękali się o siebie, znaleźli schronienie w najbezpieczniejszej przystani, a ci, którzy naszym okrętom zagrażali, przeżywali własną godzinę trwogi. Tak więc w zmienionych warunkach ta sama burza i naszych osłoniła, i poraziła okręty

rodyjskie, które co do jednego, jak ich było szesnaście o krytych pokładach, roztrzaskały się i zatoneły, a z wielkiej liczby majtków i żołnierzy część, rzucona o skały, poniosła śmierć, część nasi wyłowili: Cezar wszystkich bez szwanku puścił do domu. Dwa nasze okręty, które przez opóźnienie w drodze noc zaskoczyła, nie wiedząc, gdzie się inne zatrzymały, stanęły na kotwicy naprzeciw Lissu.

Zamierzał je zdobyć Otacyliusz Krassus, komendant Lissu. Wysłał przeciw nim łodzie i małe statki, a jednocześnie układał się o kapitulację, zapewniając całkowite bezpieczeństwo, jeśli się poddadzą. Na jednym było 220 ludzi z nowo zaciągniętego legionu, a na drugim niespełna dwustu weteranów. Tu można było poznać, jaką bronią jest dla człowieka hart ducha. Nowozacięźni, przerażeni mnogością okrętów, wyczerpani burzą i chorobą morską, poddali się Otacyliuszowi, mając zaprzysiężone, że ich nic złego od wrogów nie spotka. Gdy ich doń sprowadzono, wszyscy wbrew świętości przysięgi w jego oczach zostali najokrutniej pomordowani. Starego natomiast legionu żołnierze, równie udrećzeni burzą i wodą zbierającą się na dnie okrętu, nie sądzili, by wolno im było uchybić w czymkolwiek dawnemu męstwu. Prowadząc układy i udając skłonność do kapitulacji, zwlekali aż do nocy, po czym zmusili sternika, by natychmiast przybił do lądu. Znalazłszy miejsce dogodne, spędzili tam resztę nocy, a skoro świt Otacyliusz wysłał na nich jeźdźców, strzegących tej części wybrzeża: było ich około 400 dobrze uzbrojonych, ponieważ należeli do załogi miejskiej. Weterani, obroniwszy się i zabiwszy ich niemało, sami bez szwanku dotarli do naszych.

Gdy się to stało, związek obywateli rzymskich, który zawiadował Lisse, gdyż Cezar dawniej wyznaczył mu to miasto i zatroszczył się o jego obronność, przyjmuje Antoniusza i udziela mu wszelkiej pomocy. Otacyliusz, bojąc się o siebie, ucieka z miasta i przybywa do Pompejusza. Antoniusz zaś po wylądowaniu wszystkich wojsk, które składały się z trzech starych legionów, jednego nowozaciężnego i 800 jeźdźców, znaczną część okrętów odsyła do Italii dla przewiezienia reszty piechoty i konnicy, pontony zaś, rodzaj statków galickich, pozostawia w Lissie, aby Cezar miał czym zarządzić pościg, jeśli Pompejusz, jak wieść niesła, przetrzuci wojsko do Italii, sądząc, że jest ona bezbronna. Wysła również gońców do Cezara z meldunkiem, w jakiej okolicy wylądował i ile przewiózł żołnierzy. Cezar i Pompejusz dowiadują się o tym prawie jednocześnie. Widzieli bowiem okręty przepływające mimo Apolonii i Dyrachium i sami zaczęli lądem maszerować w ich kierunku, lecz w pierwszych dniach nie wiedzieli, dokąd zanosło okręty, Poznawszy stan rzeczy, obaj układają dwa różne plany: Cezar - aby jak najprędzej połączyć się z Antoniuszem, Pompejusz - aby im zastąpić drogę i, jeśli to możliwe, wpaść na nieopatrznych z zasadzki. Tego samego dnia jeden i drugi wyprowadza wojsko z obozu nad Apsus; Pompejusz po kryjomu i nocą, Cezar jawnie i za dnia. Lecz Cezar, idąc w górę rzeki, musiał nałożyć drogi, aby przejść w bród, Pompejusz zaś, mając drogę wolną i nie potrzebując przeprować się przez rzekę, szybkimi marszami zmierzał ku Antoniuszowi, a na wiadomość, że ów się zbliża, wybrał, miejsce stosowne i rozłożył się z wojskiem. Trzymając je w obozie, zabronił palić ogniska, aby ukryć swoją obecność. O tym natychmiast Antoniusz dowiaduje się od Greków. Wysła gońców do Cezara i przez jeden dzień nie rusza się z obozu. Nazajutrz nadciąga Cezar. Wtedy Pompe-

jusz wycofuje się, by nie zostać osaczonym przez dwa wojska, i ze wszystkimi siłami zdąża ku Asparagium dyrachijskiemu, gdzie w dogodnym miejscu zakłada obóz.

W tym czasie Scypion po kilku porażkach koło gór Amanus obwołał się imperatorem. Po czym na państewka tamtejsze i tyranów nałożył kontrybucje, na dzierżawcach podatków w swojej prowincji wymógł zaległości z dwóch lat i należność za rok przyszły jako pożyczkę, a całej prowincji nakazał dostarczyć jeźdźców. Wymusiwszy to wszystko, zostawił za sobą wrogie sąsiedztwo Fartów, którzy niedawno temu zabili imperatora M. Krassusa, a M. Bibulusa trzymali w oblężeniu, i wyprowadził z Syrii legiony wraz z konnicą. Wtrąciło to prowincję w najgłębszą troskę i trwogę przed wojną z Fartami, a wśród żołnierzy dawały się słyszeć głosy, że pójdą, jeśli ich poprowadzi na wroga, ale przeciw obywatelowi rzymskiemu i konsulowi nie podniosą broni. Odprowadził więc legiony na leże zimowe do Pergamonu i do najbogatszych miast, obsypał je darami i aby jeszcze bardziej żołnierzy przywiązać, pozwolił im łupić te kraje. Tymczasem po całej prowincji w najsroższy sposób ściągano daniny. Również zależnie od stanu wymyślano środki dla zaspokojenia własnej chciwości. Tak na niewolników, jak i na wolnych nakładano pogłównie, ustanawiano podatki od kolumn i drzwi, żądano zboża, żołnierzy, broni, wioślarzy, machin, podwód - słowem, jeśli tylko nastęrczyła się stosowna nazwa, używano jej dla wymuszenia pieniędzy. Nie tylko miastom, ale i wsiom, i grodkom poszczególnym dawano prefektów z władzą nieograniczoną. A kto z nich najsrożej i najokrutniej postępował, ten uchodził za wzór męża i obywatela. Pełna była liktorów i władz najwyższych prowincja, roiło się od prefektów i poborców, którzy oprócz nałożonych danin ubiegali się o własny zysk jeszcze, podawali się bowiem za wygnanych z domu i z ojczyzny, za pozbawionych wszystkiego, aby pod godziwym pozorem ukryć najhaniebniejsze postęпки. Na domiar zła, jak zwykle podczas wojny, przy tych wszystkich kontrybucjach srożyła się lichwa. Doszło do tego, że przyznanie dłużnikowi jednego dnia zwłoki nazywano darowizną. Tak więc zadłużenie prowincji w tym dwuleciu wzrosło wielokrotnie. Wcale nie mniej obciążano obywateli rzymskich w prowincji Scypiona, z tą tylko różnicą, że nakładano daninę na poszczególne związki i gminy, mówiąc, że są to pożyczki nakazane uchwałą senatu. Podobnie jak w Syrii, dzierżawcom podatków kazano płacić należność za przyszły rok jako zaliczkę. Poza tym Scypion chciał zabrać ze świątyni Diany w Efezie skarby złożone tam od niepamiętnych czasów. W oznaczonym dniu wkroczył do świątyni w obecności kilku osób ze stanu senatorskiego, które zaprosił; nagle doręczają mu pismo od Pompejusza z wiadomością, że Cezar z legionami przepłynął morze: niech więc spieszenie przyprowadzi wojsko do Pompejusza, a wszystko inne zostawi. Po przeczytaniu listu odprawia tych, których zwołał, przygotowuje się do wyprawy na Macedonię i w kilka dni później wyrusza. Dzięki temu ocalał skarb efeski.

Połączywszy się z wojskiem Antoniusza, Cezar wycofał z Orikum legion pozostawiony dla ochrony wybrzeża, uważał bowiem, że należy teraz pozyskać sobie prowincję i wejść w głąb kraju. Przyszli doń posłowie z Tesalii i Etolii z oświadczeniem, że gminy ich szczepów będą mu posłuszne, jeśli osadzi w nich załogi. Wysłał więc L. Kasjusza Longina z legionem nowozaciężnych (legion XXVII) i 200

jeźdźcami do Tesalii, a G. Kalwisjusza Sabina z pięciu kohortami i garstką jeźdźców do Etolii: ponieważ te kraje były blisko, zalecił im szczególnie starać się o dowóz żywności dla wojska.

Gn.Domicjuszowi Kalwinowi rozkazał ruszyć do Macedonii z dwoma legionami, jedenastym i dwunastym, dodając mu 500 jeźdźców. Z tej części prowincji macedońskiej, która nazywała się "wolna", przybył w poselstwie Menedemus, książę tego kraju, i oświadczył, że cały lud żywi wyborne chęci względem Cezara.

Kalwisjusza, ledwo się zjawił, wszyscy Etolowie powitali z największą życzliwością i gdy załogi przeciwników opuściły Kalydon i Naupaktos, on zajął całą Etoię. Kasjusz ze swoim legionem przybył do Tesalii. Tutaj, ponieważ istniały dwa stronnictwa, nastroje społeczeństwa były podzielone: Hegesaretos, człowiek nie od wczoraj potężny, sprzyjał Pompejuszowi, Petraios zaś, młodzieniec wysokiego rodu, własnymi i swoich ludzi środkami gorliwie popierał Cezara.

W tym samym czasie Domicjusz przybył do Macedonii i gdy zaczęły się doń schodzić liczne poselstwa, padła nowina o zbliżaniu się Scypiona na czele legionów. Szedł przed nim rozgłos ogromny, jak się to często dzieje, że w tym, co nowe, sława góruje nad rzeczywistością. Nie zatrzymując się w Macedonii, Scypion na gwałt zmierza przeciw Domicjuszowi, a gdy już był od niego o 20 000 kroków, zawraca nagle ku Tesalii, na Kasjusza. Wykonał to tak prędko, że wiadomość o jego marszu i przybyciu nadeszła jednocześnie. Dla większej swobody ruchów pozostawił nad Aliakmonem, rzeką dzielącą Macedonię od Tesalii, M. Fawoniusza z ośmiu kohortami, każąc mu pilnować taborów i obwarować grodek. W tym samym czasie nadleciała ku obozowi Kasjusza konnica króla Koty są, która zwykła znajdować się na granicach Tesalii. Kasjusz, który słyszał o zbliżaniu się Scypiona, zobaczywszy jeźdźców, sądził, że to jego ludzie. Zdjęty strachem, uszedł w góry otaczające Tesalię i stąd zaczął iść w kierunku Ambracji. Scypion ruszył za nim w pościg, lecz otrzymał list od Fawoniusza: że Domicjusz następuje z legionami, a on bez pomocy Scypiona nie zdoła się utrzymać.

Na skutek tego listu Scypion zmienia plan i kierunek marszu: przestaje ścigać Kasjusza i śpieszy z odsieczą Fawoniuszowi. Idąc dzień i noc bez przerwy, zdąża w samą porę, tak że jednocześnie dał się widzieć kurz zapowiadający wojsko Domicjusza i pojawiły się pierwsze straże Scypiona. Tak Kasjuszowi przyniosła ocalenie zapobiegliwość Domicjusza, Fawoniuszowi szybkość Scypiona.

Scypion, dwa dni zabawiwszy w obozie nad rzeką Aliakmon, płynącą między nim a obozem Domicjusza, trzeciego dnia o świcie wojsko w bród przeprowadza, okopuje się i nazajutrz rano sprawia swe szyki przed obozem. Domicjusz i teraz nie zawahał się przystąpić do bitwy, ponieważ zaś między ich obozami było wolne pole na jakieś sześć tysięcy kroków, podprowadził wojsko pod sam obóz Scypiona. Lecz tamten uparł się nie wychodzić zza szańców i chociaż Domicjusz z trudem powstrzymywał żołnierzy, nie doszło do bitwy, tym bardziej że strumień o stromych brzegach, płynący blisko obozu Scypiona, utrudniał naszym dostęp. Słyszając o ich zapale i ochocie do walki, Scypion obawiał się, że nazajutrz albo wbrew woli będzie zmuszony bić się, albo ku wielkiej hańbie nie ruszy się z obozu, on, który swoim zjawieniem się rozniecił tyle oczekiwania. Jak zuchwale wkroczył, tak sromotnie się wyco-

fał. Nocą, nie dając nawet sygnału do zbierania bagaży, przeprowił się za rzekę i wrócił tam, skąd przyszedł.

Rozłożył się obozem niedaleko rzeki, w miejscu z natury obronnym. W parę dni później posłał w nocy swych jeźdźców na zasadzkę w okolice, dokąd nasi ludzie prawie co dzień wybierali się po furaz, i gdy jak zwykle zjawiał się Kw. Warus, dowódca konnicy Domicjusza, tamci nagle wyskoczyli z zasadki. Nasi jednak mężnie wytrzymali napaść, każdy prędko zajął swe miejsce w szeregu i sami z kolei rzucili się na wrogów. Zabili ich około osiemdziesięciu, reszta uciekła w popłochu. Nasi wrócili do obozu, straciwszy dwóch towarzyszy. Po tych wypadkach Domicjusz w nadziei, że zdoła Scypiona wywabić do bitwy, udał, że z braku żywności musi stąd odejść, i zwyczajem żołnierskim dał sygnał do zwijania obozu, po czym odstąpiwszy trzy tysiące kroków, całą piechotę i konnicę ustawił w miejscu dogodnym i ukrytym. Scypion, gotów do pościgu, znaczną część jeźdźców wysłał przodem dla wysledzenia drogi Domicjusza i na zwiady. Już pierwsze oddziały weszły w zasadzkę, gdy rzenie koni obudziło w nich podejrzliwość, tak że cofnęły się ku swoim. Postępujący za nimi widzieli ich odwrót i zatrzymali się w miejscu. Nasi, skoro ich zasadzkę odkryto, nie czekali beczynn timer resztę sił nieprzyjacielskich i osaczyli dwa oddziały. Tylko bardzo niewielu zdołało się wymknąć. Wśród nich M. Opimiusz, dowódca jazdy.

Z tych, co pozostali, część zabito, część jako jeńców zaprowadzono do Domicjusza. Cezar wycofawszy załogi z wybrzeża, jak wyżej powiedziano, zostawił trzy kohorty dla ochrony miasta Orikum i powierzył im dozór nad okrętami wojennymi, które ściągnął z Italii. Oba te zadania poruczył legatowi Manliuszowi Acyliuszowi. Ten odprowadził nasze okręty na wewnętrzną redę za miastem i przymocował u nadbrzeża, a u wejścia do portu położył zatopiony transportowiec, połączył go z drugim, zbudował na nim wieżę - i obsadził ją żołnierzami, by się zabezpieczyć od wszelkich niespodzianek. Gn. Pompejusz syn, który dowodził flotą egipską, powiadomiony o tym, przybył pod Orikum. Przy pomocy lin i holownika wyciągnął zatopiony okręt, a drugi, z którego Acyliusz zrobił fort, otoczył wielu okrętami. Pobudował na nich wieże, pod miarę, tak żeby mógł uderzać z góry, zastępując wyczerpanych żołnierzy świeżymi, jednocześnie zaś od lądu za pomocą drabin; a od morza flotą przypuścił szturm do murów miasta, by wypłoszyć nasz oddział.

Jakoż nasi, złamani trudem i ściągnięciem pocisków, schronili się na łodzi i uciekli. Pompejusz zdobył ów obronny okręt i w tym samym czasie zajął naturalną groblę, która z miasta czyni półwysep, i na walcach przetoczył cztery dwurzędowce do wewnętrznej redy. Tak z dwóch stron dostał się do okrętów wojennych, które stały puste nacumach; cztery z nich zabrał, resztę spalił. Dokonawszy tego, odwołał z floty azjatyckiej D. Leliusza, który odtąd pozbawiał miasto wszelkiego dowozu z Bylidy i Amancji. Sam ruszył do Lissu, gdzie dopadł pozostawionych przez Antoniusza w porcie trzydziestu transportowców, które wszystkie spalił. Starał się również zdobyć Lissus, lecz obywatele rzymscy z tamtejszego związku i żołnierze z załogą, którą przysłał Cezar, bronili się dzielnie, tak że po trzech dniach z niewielkimi stratami odstąpił od oblężenia.

Cezar na wiadomość, że Pompejusz stoi pod Asparagium, szył tam z całym wojskiem, zdobył po drodze miasto Partynów, gdzie Pompejusz osadził załogę, i trzeciego dnia rozbił obóz tuż koło Pompejusza. Nazajutrz wyprowadził i uszykował wszystkie swe wojska, dając Pompejuszowi pole do rozstrzygającej bitwy. Skoro jednak spostrzegł, że ów nie rusza się z miejsca, odprowadził wojska do obozu i postanowił chwycić się innego sposobu. Następnego dnia ze wszystkimi siłami ruszył daleką, żmudną i wąską drogą ku Dyrachium, w nadziei, że albo uda mu się Pompejusza tam zapędzić, albo odciąć od tego miasta, w którym zgromadził on wszystkie zapasy żywności i cały sprzęt wojenny. I tak się stało. Pompejusz bowiem nie przejrzał zrazu jego zamiaru widząc, że maszeruje w przeciwnym kierunku, i sądził, że do odwrotu zmusił Cezara brak żywności. Dopiero poznawszy prawdę od wywiadowców, na drugi dzień zwinął obóz, tusząc, że krótszą drogą zdoła go ubiec. Tego się właśnie Cezar obawiał. Wezwał więc żołnierzy, by z równowagą ducha znosili trudy, wstrzymał pochód tylko na małą część nocy i rankiem zjawił się pod Dyrachium, gdy przednie strażce Pompejusza widać było z daleka. Tam rozbił obóz. Pompejusz, odcięty od Dyrachium, nie mógł trwać w pierwotnym zamiarze, zmienił go i wybrał wyżynę zwaną Petra, która tworzy skromną przystań i osłania okręty od pewnych wiatrów. Tam się oszańcował. Rozkazał skierować tam część floty wojennej oraz dowóz zboża i wszelkie dostawy z Azji i innych krajów znajdujących się pod jego władzą. Cezar, widząc, że wojna się przeciągnie, i nie mając nadziei na dowóz z Italii, ponieważ pompejanie z nienaganną czujnością strzegli wszystkich wybrzeży, a jego własne floty, które w ciągu zimy zamówił na Sycylii, w Galii, Italii, nie nadchodziły, wysłał Kw. Tiliusza i L. Kanulejusza jako legatów do Epiru, by się wystarali o zboże. Ze względu na oddalenie tych stron, w określonych miejscach założył magazyny, a sąsiednim gminom naznaczył dostarczenie podwód. Również w Lissie, w kraju Partynów i po wszystkich wsiach kazał rekwirować jakie tylko było zboże. Było go bardzo mało, bo ziemia tam jest z natury nieużyta i górzysta, tak że używają głównie zboża importowanego, a i Pompejusz, przewidując to zawczasu, złupił kraj Partynów. Jego jeźdźcy każdą zagrodę splądrowali i zryli w poszukiwaniu zapasów zboża i zabrali wszystko, co znaleźli.

Rozejrzawszy się w położeniu, Cezar obmyśla plan stosowny do warunków terenu. Dokoła bowiem obozu Pompejusza było bardzo wiele wysokich i stromych wzgórz. Te przede wszystkim Cezar obsadził, tworząc z nich warowne forty. Po czym, zależnie od właściwości poszczególnych odcinków, prowadził szanice od fortu do fortu, aby osaczyć Pompejusza. Wobec trudności zaprowiantowania i przewagi, jaką Pompejuszowi dawała liczna konnica, Cezar chciał w ten sposób z jak najmniejszym niebezpieczeństwem umożliwić dowóz zboża i innych dostaw dla wojska, dalej przeszkadzać Pompejuszowi w furazowaniu i uczynić jego konnicę bezużyteczną, wreszcie poderwać znaczny, jak się zdawało, autorytet Pompejusza u obcych narodów, gdy się po świecie rozniesie, że Cezar trzyma go w obleżeniu, a on nie śmie wystąpić do bitwy.

Pompejusz ani nie chciał odejść od morza i Dyrachium, ponieważ zgromadził tam cały sprzęt wojenny, pociski, oręż, maszyny i okrętami dowoził wojsku żywność, ani też nie mógł przeszkodzić Cezarowi w sypaniu szaniców, chyba za cenę bitwy, której postanowiłna razie unikać. Pozostawało więc

uciec się do ostatecznego środka, mianowicie zając jak najwięcej wzgórz i utrzymać jak najszerszą przestrzeń przez wysunięte placówki, aby siły Cezara jak najbardziej rozluźnić. I tak się stało. Zbudowano dwadzieścia cztery forty, które objęły przestrzeń piętnastu tysięcy kroków obwodu, i tam furazowano. Było tam wiele miejsc obsianych ręką ludzką, skąd brano na razie pożywienie dla bydła. I podobnie jak nasi wciąż nowe dodawali szańce, ciągnąc je od fortu do fortu, aby pompejanie nie mieli którędy się wdrzeć i napaść nas od tyłu, tak i oni wewnątrz swego koła wciąż budowali szańce, aby nasi nie mogli ich z tyłu zaskoczyć. Lecz im robota szła żwawiej, gdyż mieli więcej żołnierzy i, znajdując się w środku szanćców, pracowali w ciśniejszym obwodzie. Ilekroć Cezar musiał zająć nowy odcinek, Pompejusz wprawdzie nie decydował się przeszkodzić mu w tym wszystkimi swoimi siłami ani wystąpić do walki, posyłał jednak w odpowiednie miejsce łuczników i procarzy, których miał pod dostatkiem. Wtedy wielu z naszych odniosło rany, strzały szerzyły popłoch, tak że w końcu wszyscy żołnierze porobili sobie kaftany i okrycia z wołjoku, z koców, ze skór, aby się uchronić od pocisków. Obie strony starały się na gwałt zajmować wysunięte placówki: Cezar, aby jak najciaśniej osaczyć Pompejusza, ten zaś, aby jak najwięcej wzgórz objąć w jak najszerszym obwodzie, i stąd wynikały częste utarczki. Między innymi zdarzyło się, że dziewiąty legion Cezara zajął jakąś placówkę i zaczął ją umacniać, Pompejusz zaś nie opodal obsadził przeciwległe wzgórze, aby przeszkodzić naszym w robotach. Mając z jednej strony niemal równą drogę, rzucił najpierw łuczników i procarzy, następnie znaczny zastęp lekkobrojnych wraz z machinami wojennymi, które przerwały prace przy szanćcach, nie było nam bowiem łatwo jednocześnie walczyć i sypać szańce. Cezar, widząc, że jego ludziom zewsząd doskwierają pociski, nakazał odwrót i opuszczenie placówki. Wypadło cofać się po pochyłości. Tamci zaś tym ostrzej następowali, nie dając naszym odwrotu, wyglądało bowiem na to, żeśmy ze strachu porzucili placówkę. Opowiadają, jak to wówczas Pompejusz powtarzał z przechwałką, że zgadza się uchodzić za wodza bez żadnego doświadczenia, jeśli legiony Cezara, które zuchwałość tak daleko zagnała, nie poniosą największych strat przy odwrócie.

Cezar w obawie o cofających się kazał skraj wzgórza od strony nieprzyjaciela zagrozić faszynami i pod ich osłoną wykopać fosę średniej szerokości, i w ogóle to miejsce zewsząd uczynić niedostępnym. W odpowiednich punktach rozstawił procarzy, aby osłaniali odwrót naszych. Gdy wszystko było gotowe, dał legionowi rozkaz do powrotu. Pompejanie tym zuchwałej naciskali i atakowali, faszyny zagradzające drogę rozrzuć, by mogli przejść rowy. Spozrzegł to Cezar i w obawie, by odwrót nie wyglądał na popłoch i nie przyniósł większych strat, zatrzymał ich prawie w połowie drogi, zagrzął przez usta Antoniusza, który dowodził tym legionem, kazał otrąbić sygnał i uderzyć na nieprzyjaciół. Żołnierze dziewiątego legionu jak jeden mąż rzucili oszczepy w zastępy wrogów, pędem zbiegli z dołu po stoku wzgórza, zepchnęli pompejanów i zmusili do ucieczki. Dla tamtych większą trudność w cofaniu stanowiły rozrzucone faszyny, najeżone koły i wykopane rowy. Nasi, zadowoleni, że uchodzą bez szkody, niemało ich zabili i straciwszy tylko pięciu towarzyszy, najspokojniej się wycofali. Po czym, opanowawszy niedaleko stąd inne wzgórza, dokończyli robót przy szanćcach. Był to nowy i niezwykły sposób prowadzenia wojny, tak ze względu na liczbę fortów, wielkość szanćców, objęty nimi

obszar i całe to oblężenie, jak i z innych względów. Jeśli się bowiem kogoś oblega, zawsze ma się do czynienia z nieprzyjacielem, który albo stchórzył, albo jest słabszy, albo pokonany w bitwie, albo jakimś innym niepowodzeniem dotknięty i którego się przewyższa liczbą konnicy i piechoty, celem zaś oblężenia jest zazwyczaj odcięcie nieprzyjacielowi dowozu zboża. A tu Cezar, mając mniej żołnierzy, osaczył nietknięte i niezużyte siły przeciwnika, któremu na niczym nie zbywało. Co dzień bowiem nadchodziły doń liczne okręty z żywnością i nie mogło być takiego wiatru, by z której strony nie udało się odbyć pomyślnej żeglugi. Cezar natomiast, zużywszy wszelkie zapasy zboża w najdalszej okolicy, znajdował się w skrajnym niedostatku. Żołnierze jednak znosili to ze szczególną cierpliwością. Przypominali sobie, że to samo poprzedniego roku wycierpieli w Hiszpanii, a przecież wytrwałością i cierpliwością wygrali wielką wojnę, pamiętali okrutny głód pod Alesją i jeszcze znacznie większy pod Awarikum, zakończony zwycięstwem nad potężnymi narodami. Nie sarkali, gdy dawano im jęczmień, i nie odrzucali jarzyn, a mięso, którego w Epirze było w bród, cieszyło się u nich rzetelnym szacunkiem. Jest pewien rodzaj korzenia, który odkryli żołnierze przebywając w dolinach, zwany chara: zmieszany z mlekiem, był wielką ulgą w naszym niedostatku. Robiono z niego coś w rodzaju chleba. Było go wszędzie pełno. W rozmowach z pompejanami, gdy oni natrzęsali się z naszego głodu, żołnierze rzucali w nich tymi chlebami, aby osłabić ich nadzieje. Już i zboża zaczynały dojrzewać, i sama nadzieja pomagała znieść niedostatek: otuchą była myśl, że wreszcie się nasycą. Często słyszało się na czatach i w rozmowach z nieprzyjaciółmi głosy żołnierzy, że raczej żywić się będą korą drzewną, niż Pompejusza z rąk wypuszczą. Z przyjemnością dowiadywali się od zbiegów, że u tamtych konie się tylko uchowały, reszta zaś zwierząt jucznych wyginęła, że żołnierze nie cieszą się dobrym zdrowiem, gdyż doskwiera im ciasnota, wstrętny zaduch od mnóstwa trupów, codzienny trud, do jakiego nie przywykli, wreszcie dotkliwy brak wody. Wszystkie bowiem rzeki i potoki wpadające do morza Cezar albo odwrócił, albo wielkim nakładem pracy zatamował, a gdzie teren był górzysty, poprzerywany stromymi wąwozami, tam urządził groble z pali, które zasypał ziemią i które miały zatrzymać wodę. Tak więc pompejanie musieli z konieczności schodzić w miejsca nizinne i bagniste, a do codziennych robót przyłączyło się jeszcze kopanie studni. Te jednak były od niektórych placówek oddalone i szybko wysychały wskutek upałów. Tymczasem wojsko Cezara cieszyło się najlepszym zdrowiem i obfitością wody, dowożono również wszystkiego pod dostatkiem oprócz zboża, lecz i w tym każdy dzień przynosił zmianę na lepsze i nadzieje rosły na widok dojrzewających kłosów.

W tym nowym rodzaju wojny z obu stron znajdowano nowe sposoby wojowania. Pompejanie, poznawszy po ogniskach, że nasze kohorty czuwają nocą przy szańcach, zbliżali się po cichu i wszyscy naraz strzelali z łuków w tłum, po czym w lot uciekali do swoich. Nasi, nauczeni doświadczeniem, tak na to znaleźli sposób, że odtąd w innym miejscu rozpalali ogniska...

Tymczasem uwiadomiony o tym P. Sulla, któremu Cezar odchodząc powierzył dowództwo obozu, przybył kohorcie na odsiecz z dwoma legionami. Z jego pomocą łatwo odparto pompejanów. Nie wytrzymali zaiste ani widoku, ani natarcia naszych i kiedy pierwsze szeregi złamano, reszta podała tył i uciekła. Lecz naszą pogoń Sulla odwołał, aby się za daleko nie posunęła. Wielu sądzi, że gdyby ze-

chciał ostrzej następować, mógłby był tego dnia wojnę skończyć. Lecz nie wydaje się, by jego decyzja była godna nagany. Inna jest bowiem rola legata, a inna naczelnego wodza: ów ma działać według rozkazu, ten zaś układa własny plan, ogarniając całość. Sulla, któremu Cezar oddał dowództwo obozu, poprzestał na uwolnieniu swoich z opresji i aby się nie wydawało, że bierze na siebie rolę naczelnego wodza, nie chciał staczać bitwy, która przecież mogła mieć wynik niepomyślny. Jego wystąpienie bardzo utrudniło pompejanom odwrót. Z nierównego bowiem terenu wyszli na wzgórze i obawiali się, że cofając się po zboczu, będą mieli naszych nacierających z góry, a niewiele czasu pozostało do zachodu słońca, gdyż uwiedzeni nadzieją zakończenia dzieła, przeciągnęli je niemal do nocy.

Pompejusz chwycił się środka, który mu narzuciły okoliczności, i zajął pewien pagórek na tyle oddalony od naszego fortu, że nie mógł tam sięgnąć ani pocisk ręczny, ani z maszyny. Tu osiadł, obwarował się i zgromadził wszystkie swoje wojska. W tym samym czasie walczone jeszcze w dwóch innych miejscach, albowiem Pompejusz zaatakował również wiele fortów, aby rozdzielić nasze siły i bliższym placówkom odjąć możliwość wzajemnej pomocy. W jednym miejscu Wolkacjusz Tullus z trzema kohortami wytrzymał natarcie całego legionu i wyparł go, w drugim Germanowie, przekroczywszy nasze szaniec, sporo ludzi zabili i bez szwanku wrócili do swoich. Tak w jednym dniu stoczono sześć bitew: trzy pod Dyrachium, trzy przy szanecach. Jak stwierdziliśmy po otrzymaniu wszystkich raportów, pompejanów padło do dwóch tysięcy, wielu zasłużonych żołnierzy i centurionów, w tej liczbie Waleriusz Flakkus, syn Lucjusza, tego samego, który jako pretor dostał namiestnictwo Azji; zdobyto sześć sztandarów. Naszych zginęło we wszystkich bitwach nie więcej niż dwudziestu. Lecz na forcie nie było w ogóle żołnierza, który by nie odniósł rany, a w jednej kohorcie czterech centurionów straciło wzrok. I chcąc dać dowód swojej wytrzymałości oraz niebezpieczeństwa, donieśli Cezarowi, że na fort padło około 30 000 strzał, a w tarczy centuriona Scewy, którą przedstawiono wodzowi, było sto dwadzieścia dziur. Za zasługi wobec siebie i wobec Rzeczypospolitej dał mu Cezar w nagrodę 200 000 sestercjów i z ósmego stopnia przeniósł go na pierwszy; było bowiem wiadome, że utrzymanie fortu było w wielkiej mierze jego dziełem. Następnie kohorcie kazał wypłacić podwójny żołd i rozdać żołnierzom hojne nagrody w zbożu, pieniądzach i odznaczeniach.

Przez noc Pompejusz zmniejszył swoje obwarowania, w następnych dniach zbudował wieże, wały wyciągnął na piętnaście stóp i tę część obozu osłonił poddaszami, a gdy w pięć dni później nadarzyła się znowu pochmurna noc, zatarasował wszystkie bramy obozu, jak najbardziej utrudniając doń dostęp, po czym z nastaniem trzeciej straży cichaczem przeprowadził wojsko i przeniósł się do starych okopów. Przez wszystkie następne dni Cezar ustawiał wojsko na równinie tak, że jego legiony sięgały pod sam obóz Pompejusza, wyczekując, czy ów nie zechce przyjąć bitwy. Pierwszy szereg był zaledwie na tyle oddalony, by nie doleciał doń pocisk ręczny lub z maszyny. Pompejusz zaś, aby zachować u ludzi sławę i dobre mniemanie, tak ustawiał wojsko przed obozem, że trzecie szeregi dotykały wału, a całe wojsko mogło się znaleźć pod osłoną rzucanych zeń pocisków.

Skoro, jak wspomnieliśmy, Kasjusz Longinus i Kalwisjusz Sabinus zajęli Akarnanię, Etoię i kraj Amfilochów, Cezar uznał, że należy nieco dalej się posunąć i zjednać sobie Achaję. Wysłał tam więc Ka-

lena, dodając mu Sabina i Kasjusza z kohortami. Na wiadomość o ich zbliżaniu się Rutiliusz Lupus, który zarządzał Achają z ramienia Pompejusza, zabrał się do fortyfikowania Istmu, by Fufiusza nie dopuścić do Achai. Kalenus zajął Delfy, Teby, Orchomenos za zgodą tych miast, kilka innych wziął przemocą, do pozostałych wyprawił poselstwa, usiłując je pozyskać dla Cezara na drodze przyjaznej. Te rzeczy były głównym zadaniem Fufiusza. Kiedy się to działo w Achai i pod Dyrachium, przychodzi wiadomość, że Scypion jest w Macedonii. Cezar, który nie zapomniał o swym pierwotnym zamiarze, wysłał doń Klodiusza, wspólnego przyjaciela: to właśnie za wstawiennictwem i poleceniem Scypiona zaliczył go był Cezar do rzędu swoich bliskich. Daje mu list i ustne zlecenia tej treści: wszystko, co dotychczas przedsięwziął na rzecz pokoju, nie doszło do skutku, jak sądzi, z winy tych, którym tę sprawę powierzył, ponieważ oni się obawiali, że w niewłaściwym czasie zanoszą Pompejuszowi jego zlecenia; Scypion natomiast zażywa takiej powagi, że nie tylko może swobodnie przedstawić wszystko, co uzna za stosowne, ale nawet nagiąć i błędzącego na właściwą drogę skierować, a dowodząc wojskiem we własnym imieniu, posiada oprócz osobistej powagi również i siły do wywarcia przymusu; jeśliby to uczynił, wszyscy jemu jednemu mieliby do zawdzięczenia spokój Italii, uśmierzenie prowincji, zbawienie imperium. Z tą misją udaje się do niego Klodiusz. W pierwszych dniach podobno chętnie słuchany, w następnych nie zostaje dopuszczony do rozmowy, gdyż, jak dowiedzieliśmy się po skończonej wojnie, Fawoniusz skarcił Scypiona. Nic więc nie załatwiwszy Klodiusz powrócił do Cezara.

Cezar, aby tym łatwiej zamknąć konnicę Pompejusza pod Dyrachium i odciąć jej furaż, wielkim nakładem pracy zatarasował obie drogi do miasta, które, jak wspomnieliśmy, idą wąwozem, i zbudował tam forty. Pompejusz, widząc, że nic konnicą nie wskóra, w niewiele dni później ściągnął ją okrętami do okopów. Był tak okrutny brak paszy, że na pokarm dla koni ścinano z drzew liście i tłuczono delikatne korzenie trzciny - zboże posiane wewnątrz szańców dawno zjedzono. Byli zmuszeni sprowadzać paszę z Korcyry i Akarnanii, co wymagało długiej żeglugi, a ponieważ i tego było skąpo, dodawali jęczmienia, byle tylko utrzymać konnicę. Gdy jednak zabrakło jęczmienia i paszy, gdy trawę już wszędzie wycięto, a nawet nie stało liści na drzewach, konie padały z wycieńczenia i Pompejusz zaczął myśleć o przebiciu się przez wojska nieprzyjacielskie.

Wśród jeźdźców Cezara byli dwaj bracia, Roucillus i Egus, Allobrogowie, synowie Adbucilla, który przez wiele lat był naczelnikiem swego kraju, ludzie szczególnej dzielności: przez wszystkie wojny galickie miał w nich Cezar doskonałych i mężnych pomocników. W ojczyźnie powierzał im najwyższe godności i kazał ich poza kolejną wybrać do senatu, obdarzył ziemią zdobytą w Galii na nieprzyjaciół, wielkimi nagrodami pieniężnymi z ubogich uczynił bogaczami. Dzięki swym cnotom cieszyli się nie tylko szacunkiem Cezara, ale i od wojska byli bardzo lubiani. Lecz dufni w przyjaźń Cezara i nadęci głupią, barbarzyńską pychą, z pogardą patrzyli na swoich, jeźdźców okradali na żołdzie i wszelkie łupy odsyłali do domu. Rozjątrzona tym cała konnica zjawiała się u Cezara z otwartą skargą na ich niesprawiedliwości, wśród innych złodziejstw wymieniając i to, że oni podają fałszywą liczbę jeźdźców, aby zabierać ich żołd.

Cezar uznał, że nie pora na ich ukaranie, pobłażliwy zresztą z uwagi na ich dzielność, odroczył całą sprawę, lecz w cztery oczy skarcił za wyzyskiwanie jeźdźców i upomniął, by we wszystkim na nic więcej nie liczyli, jak na jego przyjaźń i z dawniej doznanych łask spodziewali się dalszych. To jednak przyniosło im wielką niechęć i pogardę w całym wojsku, co mogli poznać zarówno z wymówek ludzi postronnych, jak i z opinii najbliższych oraz własnego sumienia. Ze wstydu i może w przekonaniu, że nie uwolniono ich od kary, tylko ją na inny czas odłożono, postanowili pójść od nas, próbować nowego szczęścia i doświadczyć nowych przyjaźni.

Zwierzywszy się kilku swoim klientom, których odważyli się wtajemniczyć w taką zbrodnię, usiłowali najpierw zabić prefekta konnicy, G. Wolusena, jak się później po skończonej wojnie wydało, by nie przyjść do Pompejusza z gołymi rękami. Skoro jednak okazało się to za trudne i nie nastęczała się sposobność do wykonania, pożyczyci, ile tylko mogli, pieniędzy, jak gdyby mieli zamiar dać zadośćuczynienie swoim i zwrócić sprzeniewierzone sumy, nakupili moc koni i przeszli do Pompejusza razem z tymi, których przypuścili do tajemnicy. Jako że byli szlachetnie urodzeni i dobrze wychowani, że przyszli z licznym orszakiem i mnóstwem zwierząt jucznych, że mieli sławę dzielnych mężów, a u Cezara szacunek, wreszcie jako że to była rzecz nowa i niezwykła, Pompejusz oprowadzał ich i pokazywał powszystkich oddziałach. Przedtem bowiem nikt z piechoty ani z konnicy nie przeszedł do Pompejusza od Cezara, gdy niemal codziennie uciekali do Cezara od Pompejusza, a już po prostu gromadnie żołnierze w Epirze, Etolii i w tych wszystkich ziemiach, które się poddały Cezarowi. Nasi zaś Allobrogowie, świadomi wszystkiego, donieśli Pompejuszowi, jakie są niedokładności w budowie szańców, gdzie i co, zdaniem doświadczonych wojskowych, pozostawia do życzenia, co i w jakim czasie się odbywa, jakie są odległości między poszczególnymi punktami, jak rozmaita jest czujność straży, zależnie od charakteru i gorliwości każdego z dowódców. Zaopatrzony w te wiadomości, Pompejusz, który, jak wspomniano, już przedtem powziął zamiar przedarcia się, rozkazuje żołnierzom porobić z wikliny okrycia na hełmy i nagromadzić materiał na faszyny. Kiedy to było gotowe, wielką liczbę lekkobrojnnych i łuczników wraz z faszynami nocą wsadza na łódki i barki, w tym samym czasie z fortów i z głównego obozu ściągą sześćdziesiąt kohort i wyprowadza ku tej części szańców, która leżała nad morzem, a jak najdalej od głównego obozu Cezara. Tam również kieruje statki z wyżej wspomnianym ładunkiem (lekkobrojni i faszyny) oraz okręty wojenne, które miał nad Dyrachium, i każdemu daje dokładne rozkazy. W tej części szańców Cezar ustawił kwestora Lentulusa Marcellina z dziesiątym legionem, dając mu, ponieważ był słabego zdrowia, Fulwiusza Postuma za pomocnika. Była w tym miejscu fosa na piętnaście stóp i wał od strony nieprzyjaciela na dziesięć stóp wysoki i tyleż szeroki. O sześćset stóp od niego szedł drugi wał, skromniej ufortyfikowany, a zwrócony w przeciwną stronę. Cezar bowiem, obawiając się, by nasi nie zostali zaskoczeni przez okręty, zbudował tu w ostatnich dniach wał podwójny dla obrony w razie dwustronnego ataku. Lecz wielkość przedsięwzięcia, mającego objąć 17 000 kroków, i ciągle prace, jakie każdy dzień nastęczał, nie zostawiły czasu na wykończenie dzieła. Zwłaszcza nie był jeszcze skończony poprzeczny wał, który miał połączyć oba te szanice i zabezpieczyć od ataków z morza. Wiedział o tym Pompejusz od Allobrogów, sied wielka

nasza klęska. Kiedy bowiem dwie kohorty IX legionu czuwały przy morzu, o świcie Pompejuszowi żołnierze, których okrętami podwieszono pod wał zewnętrzny, zaczęli rzucać pociski, zasypywać fosy faszyną, legionieści zaś szerzyli popłoch wśród załogi wewnętrznych szańców, przystawiając do nich drabiny i rażąc pociskami z machin i wszelkiego innego rodzaju, z obu stron wspierani przez gęste osłony łuczników. Nasi nie mieli innych pocisków prócz kamieni, a od nich pompejanie osłaniali się okryciami z wikliny, nałożonymi na hełmy. Kiedy tak nasi, na wszelki sposób nękani, z trudem stawiali opór, zauważył nieprzyjaciel luki w szańcach, o których wyżej była mowa. Natychmiast od strony morza wtargnęli żołnierze wysadzeni z okrętów i wpadli między dwa wały w tym miejscu, gdzie prace były nie wykończone. Nasi, zaskoczeni z tyłu i zepchnięci z obydwu szańców, musieli się cofnąć.

Marcellinus, gdy mu doniesiono o niespodziewanym napadzie, posyła z obozu świeże kohorty na odsiecz naszym, te jednak, widząc uciekających, ani ich nie mogły swoim zjawieniem skrzepić, ani same nie wytrzymały natarcia wrogów. Wszystko więc, co śpieszyło na pomoc, zarażało się strachem uciekających, powiększało popłoch i niebezpieczeństwo. Wzbierająca ciżba utrudniała odwrót. W tej bitwie chorąży, ciężko ranny, gdy już z sił opadał, spostrzegł naszych jeźdźców: "Przez wiele lat - zawolał - pókim żył, z największą czujnością strzegłem tego orła, i teraz, kiedy umieram, z tą samą wiernością zwracam go Cezarowi. Zaklinam was. Nie dopuście, by stało się to, co nigdy nie stało się w wojsku Cezara, nie dopuście do tej hańby żołnierskiej i odnieście go tak, jak jest nietknięty, Cezarowi." Tak zostaje ocalony orzeł I już pompejanie, czyniąc wielką rzeź wśród naszych, podchodzili pod obóz Marcellina, a w pozostałych kohortach szerzył się niemały popłoch, gdy Marek Antoniusz, który stał w najbliższym forcie, dowiedziawszy się, co zaszło, ukazał się z dwunastu kohortami na stoku wzgórza. Jego zjawienie się pompejanów powstrzymało, a naszym dodało odwagi, tak że zdołali się otrząsnąć z największego popłochu. Wkrótce potem poszedł sygnał dymny od fortu do fortu, jak to było dawniej w zwyczaju, i Cezar, ściągawszy kilka kohort z posterunków, sam się zjawił. Zdał sobie sprawę z klęski i widząc, że Pompejusz wyszedł poza szańce i rozłożył się nad brzegiem morza, gdzie by mógł swobodnie furazować i mieć dostęp do okrętów, odstąpił od pierwotnego planu, który się nie powiódł, i kazał założyć warowny obóz w pobliżu Pompejusza.

Ledwo te roboty skończono, gdy wywiadowcy Cezara zauważyli za lasem jakieś kohorty, wyglądające na kształt całego legionu, a ciągnące od starego obozu. Miał on swoje dzieje. Na samym początku IX legion Cezara, który stanął naprzeciw wojsk Pompejusza i otoczył go, jak wspominaliśmy, szańcami, założył tam obóz. Graniczył on z jakimś lasem, a od morza dzieliło go nie więcej niż trzysta kroków. Później, zmieniawszy plan, Cezar z pewnych powodów przeniósł swój legion nieco dalej od tego miejsca. Pompejusz zaś w parę dni później zajął ów opuszczony obóz, a mając zamiar pomieścić w nim kilka legionów, zachował wewnętrzny wał, do którego dodał obszerniejsze szańce. W ten sposób mniejszy obóz, włączony w większy, służył za fort i twierdzę. Następnie od lewego rogu obozu doprowadził szańce do rzeki na długość jakich czterystu kroków, aby żołnierze mogli zaopatrywać się w wodę bez większego niebezpieczeństwa. Lecz i on, zmieniawszy zamysł z pewnych powodów, o któ-

rych zbyt liczna się rozwoździć, opuścił to miejsce. Tak przez szereg dni obóz stał pustką, mając wszystkie obwarowania nie naruszone.

Skoro wojsko tam weszło, wywiadowcy natychmiast donieśli o tym Cezarowi. To samo potwierdzili ci, co patrzyli z kilku wyżej położonych fortów. Od nowego obozu Pompejusza było to miejsce oddalone o jakie pięćset kroków. Cezar, w nadziei, że uda mu się rozbić ów legion, i chcąc zabić klęskę tego dnia, zostawił przy robotach dwie kohorty dla pozorów, że buduje szańce, sam zaś inną drogą, jak mógł najszybciej, wyszedł na czele pozostałych 33 kohort, wśród których był i legion IX, pozbawiony znacznej liczby centurionów i zdziesiątkowany. Cezar ustawił się w dwie linie przed obozem Pompejusza i małym obozem. I nie zawiódł się na swej pierwszej myśli. Przybył bowiem prędzej, zanim Pompejusz mógł się spodziewać, i chociaż obóz był wielce obronny, z lewego rogu, gdzie się właśnie zatrzymał, w lot napadł na pompejanów i spędził ich z wałów. Bramy były zatarasowane jeżem. Tutaj krótko walczone: nasi usiłowali wdrzeć się do obozu, którego tamci bronili. Najmężniej stawał T. Pullio, ten sam, za czyją sprawą, jak wspomnieliśmy, zostało zdradzone wojsko G. Antoniusza. Nasi jednak dzielnością zwyciężyli i wyrąbawszy jeża, wdarli się najpierw do wielkiego obozu, potem i do fortu znajdującego się wewnątrz, a ponieważ schronił się tam rozbitý legion, niemało z tych, co stawali opór, poległo.

Los jednak, wszechmożny w każdej rzeczy, a zwłaszcza w wojnie, przez drobne zdarzenia sprowadza wielkie przemiany. Tak się i wtedy stało. Kohorty z naszego prawego skrzydła, nie orientując się w terenie, puściły się wzdłuż wału, który, jak mówiliśmy, biegł od obozu do rzeki, i biorąc go za sam obóz, szukały bramy. Spostrzegłszy zaś, że łączy się on z rzeką i że nikt go nie broni, rozrzuciły wał i przeszły na drugą stronę, a za kohortami cała nasza konnica.

W dość długi czas potem Pompejusz, uwiadomiony, co się dzieje, odwołał od robót pięć legionów na odsiecz swoim, jednocześnie jego konnica zbliżała się do naszych jeźdźców, a ci z naszych, którzy zajęli obóz, zobaczyli uszykowane wojsko i wszystko nagle się zmieniło. Legion Pompejusza, pokrzepiony nadzieją prędkiej odsieczy, stanął doobrony przed główną bramą obozu, a nawet przeszedł do ataku. Konnica Cezara, schodząc ciasną drogą po nasypach, w obawie, że nie zdoła się wycofać, zaczęła uciekać. Prawe skrzydło, odcięte od lewego, widząc popłoch wśród konnicy i bojąc się, że ją zgniotą między szańcami, cofało się tędy, którą się przedarło, a wielu, nie chcąc wpaść w ścisk, rzucało się z szańców do fosy z wysokości dziesięciu stóp: pierwszych zdeptano, następni po ich ciałach zdobywali sobie drogę do ocalenia. Żołnierze na lewym skrzydle, gdy z wału zobaczyli nadchodzącego Pompejusza, a swoich w rozsypce, bojąc się dostać w położenie bez wyjścia, gdyż mieliby nieprzyjaciół od wewnątrz i zewnątrz, tą samą drogą, którą przyszedli, zamierzali się cofnąć i taki wszczął się rwetes, strach, popłoch, że Cezar własną ręką pochwycił sztandary uciekających i kazał im stanąć. Lecz mimo to jedni, schyliwszy sztandary, pędzili dalej tą samą drogą, drudzy ze strachu wręcz je porzucali, a nikt się w ogóle nie zatrzymał.

Wśród tak wielkich nieszczęść całkowitej zagładzie wojska zapobiegło to, że Pompejusz, jak sądzę, obawiał się zasadzki. Wszystko bowiem stało się nad spodziewanie tego człowieka, który przedtem

widział, jak jego ludzie uciekają z obozu, który przez pewien czas nie miał odwagi zbliżyć się do szańców, a jego jeźdźcy ociągali się wejść w ciasną i przez Cezara zajętą drogę. Tak dla jednych, jak i dla drugich małe rzeczy miały wielkie znaczenie. Oto szańce ciągnące się od obozu do rzeki stanęły w drodze pewnemu i całkowitemu zwycięstwu Cezara w chwili, gdy już zdobyto obóz Pompejusza, a z drugiej znów strony one osłabiły szybkość pościgu i przyniosły naszym ratunek.

W dwóch tego dnia bitwach stracił Cezar 990 żołnierzy i znanych rycerzy rzymskich: Fleginata Tutikana Galia, syna senatora, G. Fleginata z Placencji, A. Graniusza z Puteolów, Marka Sakratiwira z Kapui, którzy byli trybunami wojskowymi, oraz 32 centurionów. Z tych wszystkich znaczna część po fosach, szańcach, na brzegach rzeki, zgnieciona wśród popłochu i ucieczki przez własnych towarzyszy, zginęła żadnej nie odniósłszy rany. Stracono 32 sztandary. Pompejusz w tej bitwie został obwołany imperatorem. Przyjął tytuł i pozwalał, by go i później nim witano, ale nie używał go w swoich listach ani fascies swych liktorów nie zdobił wawrzynem. A Labienus uzyskał u Pompejusza, żeby mu wydano jeńców, których wyprowadził dla ostentacji przed całe wojsko i nazywając towarzyszymi broń, zasypał obelgami: pytał, czy przystoi weteranom uciekać; wreszcie na oczach wszystkich kazał ich stracić. Tak oto zdrajca chciał zdobyć większe zaufanie.

Pompejanie nabrali tyle otuchy i zarozumiałości, że porzuciwszy myśl o dalszej wojnie, uważali się już za zwycięzców. Nie brali pod uwagę, że przyczyny tego, co się stało, były: szczupłość naszych sił, niekorzystne warunki terenu, zwłaszcza ciasnota wynikła po zajęciu obozu, podwójny popłoch wewnętrzny i zewnętrzny szańców, rozdarcie wojska na dwie części, które nie mogły sobie nawzajem nieść pomocy. Nie pomyśleli i o tym, że nasi nie przypuścili ostrego ataku ani nie stoczyli właściwej bitwy i sami sobie, stłoczywszy się tłumnie w ciasnym miejscu, wyrządzili więcej szkody, niż jej doznali od nieprzyjaciela. Zapomnieli pompejanie o powszednim na wojnie przypadku, że nieraz błahę przyczynę spowodowały wielkie klęski, czy to przez fałszywe podejrzenie, czy nagły popłoch, czy przesądny skrupuł, a ileż razy spada na wojsko nieszczęście z pomyłki naczelnego wodza czy z winy trybuna! Jak gdyby zwyciężyli własną dzielnością i żadna już odmiana nie mogła się zdarzyć, po całym świecie słowem i pismem sławili zwycięstwo tego dnia.

Cezar musiał wyrzec się poprzednich planów i zmienić taktykę. Ściągnął wszystkie posterunki, zaniechał oblężenia i zgromadził w jednym miejscu całe wojsko. Miał do żołnierzy przemowę, w której nawoływał, by tego, co się stało, nie brali do serca ani się nie przerażali, skoro na tyle wygranych bitew wypadła jedna przegrana, i to nie bardzo wielka. Trzeba błogosławić los, że Italię zajęli bez żadnych strat, że obie Hiszpanie uśmierzyli walcząc z tak wojowniczymi ludźmi i tak doświadczonymi wodzami, że zdobyli bliskie i zbożorodne prowincje, wreszcie trzeba pamiętać, w jak szczęśliwy sposób przeprawili się wszyscy bez szwanku, zeglując między nieprzyjacielskimi flotami, od których roiły się nie tylko porty, ale i wybrzeża. Jeśli nie wszystko wypadło pomyślnie, trzeba szczęściu dopomóc własnym wysiłkiem. Poniesione straty powinno się raczej każdemu przypisać niż jego winie. Dał im bowiem korzystne pole bitwy, owaładnął obozem nieprzyjacielskim, rozproszył i przełamał walczącego wroga. Lecz czy to nagłe zamieszanie, czy błąd jakiś, czy wreszcie sam los odebrał im po prostu

z rąk już odniesione zwycięstwo, teraz więc muszą się starać, by z klęski uleczyć się dzielnością, co jeśli się stanie, niepowodzenie obróci się na dobre, jak to było pod Gergowią, i ci, którym teraz strach wytrącił oręż, niech tym chętniej pójdą do walki.

Po tej przemowie kilku chorążych napiętnował i usunął ze stanowiska. Po klęsce całe wojsko ogarnął taki ból i takie pragnienie starcia hańby, że nikt nie czekał na rozkazy trybunów lub centurionów, ale sam sobie za karę nakładał cięższe roboty, a wszyscy płonęli żądzą walki, niektórzy zaś wyżsi oficerowie, po rozwadze doszli do przekonania, że trzeba zostać na miejscu i wydać bitwę. Cezar jednak nie dowierzał żołnierzom, którzy jeszcze nie otrząsnęli się z popłochu, i chciał im zostawić czas, by umysły ochłonęły, bał się zresztą, że opuszczenie szanów zagraża dowozowi zboża.

Nie zwlekając tedy opatrzył tylko rannych i chorych i z nastaniem nocy po cichu wyprawił tabory do Apolonii. Zabronił im zatrzymywać się w drodze na wypoczynek. Dla osłony wysłał z nimi jeden legion. W obozie zostawił dwa legiony, resztę o czwartej straży kazał wyprowadzić przez kilka bram i wyprawił tą samą drogą. Po krótkiej zwłoce, chcąc być wiernym zasadom wojennym i jak najdłużej ukrywać swój wymarsz, kazał dać sygnał i natychmiast wyruszył. Spiesząc za tylną strażą, znikł z pola widzenia obozów. Pompejusz, skoro tylko poznał jego cel, ani chwili nie zwlekał z pościgiem. W nadziei, że zaskoczy nas wśród drogi, nie przygotowanych i spłoszonych, wyprowadził wojsko z obozu, a konnicę pchnął naprzód, by zatrzymała nasze tylne straże. Nie mógł jednak nadażyć, gdyż Cezar mocno go wyprzedził, niczym nie skrępowany w marszu. Lecz gdy się doszło do rzeki Genusus, która ma brzegi niedostępne, konnica dopadła tylnej straży i zawiązała z nią bitwę. Cezar podesłał tam swoich jeźdźców, do których dołączył czterystu przedchorągiewnych w rynsztunku bojowym, i ci tak się dobrze sprawili, że rozproszyli konnicę nieprzyjacielską, wielu kładąc trupem, sami zaś bez szwanku wrócili do szeregów.

Ukończywszy pełny marsz dzienny, Cezar przeprowadził wojsko za rzekę Genusus i osiadł w swoim starym obozie naprzeciw Asparagium. Piechotę zatrzymał w szanach, a konnicę wysłał rzekomo na furaz i kazał jej wrócić do obozu przez tylną bramę. Podobnie i Pompejusz po dziennym marszu zajął swój dawny obóz pod Asparagium. Jego żołnierze nie mając nic do roboty, gdyż okopy były nie naruszone, bądź to zapędzili się daleko po drzewo i furaz, bądź też, ponieważ wymarsz nastąpił tak nagle, że pozostawiono znaczną część taborów i bagaży, wybrali się ponie, znęceni bliskością poprzedniego obozu, i porzuciwszy broń w namiotach, opuścili szanę. Jak przewidział Cezar, pościg w tych warunkach był niemożliwy. W samo więc południe dał znak do wymarszu, po raz wtóry tego dnia, i posunął się o 8000 kroków dalej. Wskutek rozproszenia żołnierzy Pompejusz nie mógł iść za nim.

Podobnie i nazajutrz z nastaniem nocy Cezar wyprawił naprzód tabory, a sam wyszedł o trzeciej straży, by jeśli wyniknie konieczność walki, w nagłym wypadku ruszyć na pomoc z wojskiem nie obciążonym bagażami. To samo czynił i przez następne dni, dzięki czemu przy najgłębszych rzekach i na niedostępnych drogach nie poniósł żadnej szkody. Pompejusz, straciwszy dzień na próżno, starał się to później nadrobić wielkimi marszami. Czwartego dnia zaprzestał pościgu i doszedł do przekonania, że trzeba opracować nowy plan.

Dla Cezara było koniecznością dotrzeć do Apolonii, aby złożyć rannych, wypłacić żołd wojsku, dodać otuchy sojusznikom, obsadzić miasta załogami. Lecz tym rzeczom poświęcił tylko tyle czasu, ile ma ten, któremu się śpieszy, i bojąc się o Domicjusza, by go Pompejusz nie zaskoczył, z całą szybkością i energią ruszył ku niemu. Położenie przedstawiało mu się następująco: jeśli Pompejusz podąży w tym samym kierunku, odetnie go od morza i zapasów, które zgromadził w Dyrachium, a pozbawionego zboża i dowozu zmusi do walki na równych warunkach; jeśli zaś przeprawi się do Italii, Cezar połączy swoje wojska z Domicjuszem i przez Ilirję pójdzie na odsiecz Italii; jeśli zechce zdobyć Apolonię i Orikum i odciąć Cezara od wybrzeża, Cezar osaczy Scypiona i zmusi Pompejusza, by tamtemu przyszedł z pomocą. Wysłał więc Cezar gońców z listem do Domicjusza, wyjaśniając, o co mu chodzi; zostawił załogi: w Apolonii cztery kohorty, w Lissie jedną, w Orikum trzy; złożył rannych i pomaszerował przez Epir i Atamanię. Pompejusz, domyślając się zamiarów Cezara, uznał, że wypada mu śpieszyć do Scypiona: jeśli Cezar rzeczywiście tam zmierza, da pomoc Scypionowi; jeśli zaś Cezar nie chciał się oddalić od wybrzeża i Orikum, ponieważ oczekuje z Italii reszty legionów i konnicy, sam wtedy ze wszystkimi siłami uderzyłby na Domicjusza.

Z tych powodów każdy z nich starał się o pośpiech, aby swoim dać odsiecz i nie zmarnować sposobności do zgniecenia przeciwnika. Cezara jednak Apolonia zawróciła z drogi prostej, Pompejusz zaś miał przez Kandawię wolne przejście do Macedonii. Niespodzianie przybył nowy kłopot. Oto Domicjusz, który przez szereg dni stał obozem obok Scypiona, ze względu na dowóz żywności odszedł stamtąd, kierując się na Heraklię, leżącą pod Kandawią: zdawało się, jakby sam los gnał go na Pompejusza. O tym Cezar wówczas nie wiedział. Rozesłane przez Pompejusza po wszystkich prowincjach i gminach listy rozniosły sławę bitwy pod Dyrachium szeroko i z wielką przesadą: mówiono, że Cezar rozbity, że ucieka, że stracił prawie całe wojsko. Przez to drogi stały się niebezpieczne, wielu sojuszników odpadło. Gońcy od Cezara do Domicjusza i od Domicjusza do Cezara, rozesłani różnymi drogami, nie mogli w żaden sposób dotrzeć do celu. Lecz Allobrogowie z otoczenia Roucilla i Egusa, o których przejściu na stronę Pompejusza była mowa, spotkawszy w drodze zwiadowców Domicjusza, wyłożyli im wszystko, co się stało, podając, że Cezar wymaszerował, a Pompejusz się zbliża - nie wiadomo, czy wydobyla z nich wyznania chępliwość, czy dawna zażyłość, ponieważ zwiadowcy byli ich towarzyszami broni w Galii. Uprzedzony przez nich Domicjusz miał zaledwie cztery godziny czasu, lecz i tak z łaski wrogów uniknął niebezpieczeństwa: skierował się ku Eginium, miastu leżącemu na wprost Tesalii, i tam spotkał się z Cezarem.

Połączone wojska Cezara zaprowadził do Gomf, które są pierwszym miastem Tesalii, gdy się idzie z Epiru. Tamtejsza ludność parę miesięcy przedtem z własnej chęci wysłała do Cezara poselstwo, dając mu do rozporządzenia wszystkie swoje zasoby i prosząc o załogę wojskową. Lecz już go tam uprzedziły wyżej wspomniane pogłoski o bitwie pod Dyrachium, które jeszcze z wielu stron wyolbrzymiano. Androstenes więc, wojewoda Tesalii, który wolał być uczestnikiem Pompejuszowego zwycięstwa niż sprzymierzeńcem Cezara w niepowodzeniu, spędza z pól do miasta całe mnóstwo niewolników i wolnych, zamyka bramy i posyła gońców do Scypiona i Pompejusza, aby mu przyszedli z pomocą; jeśli

szybko nadciągną, może polegać na fortyfikacjach miasta, dłuższego jednak oblężenia nie zdoła przetrzymać. Scypion na wiadomość o cofnięciu się wojsk spod Dyrachium, przywiódł legiony do Larisy. Pompejusz był jeszcze dość daleko od Tesalii. Cezar, umocniwszy obóz, kazał przygotować drabiny, myszki, faszyny do natychmiastowego szturmu na miasto. Gdy to zrobiono, miał przemowę do żołnierzy, aby im wskazać, jakie znaczenie dla pozbycia się wszelkiego niedostatku posiada zajęcie grodu zasobnego i bogatego, przy czym padnie strach i na inne, trzeba zaś, by się to stało wpraw, nim nadjdą posiłki. Dzięki szczególnemu zapałowi żołnierzy, tego samego dnia, w którym przybył, po godzinie dziewiątej przypuścił szturm do miasta, bronionego przez bardzo wysokie mury, zdobył je przed zachodem słońca, oddał żołnierzom na splądrowanie, natychmiast zwinął obóz i zjawił się pod Metropolis, wyprzedzając gońców i wieści o zdobyciu Gomf.

Z początku mieszkańcy Metropolis pod wpływem tych samych pogłosek mieli również zamiar bronić się, zamknęli bramy i obsadzili mury zbrojnymi ludźmi, potem jednak, dowiedziawszy się o losie gomf i jeżyków od jeńców, których Cezar kazał podprowadzić pod mury, otworzyli bramy. Dołożono wszelkich starań, aby nie ponieśli żadnej szkody, tak że gdy porównano szczęście metropolilańczyków z tym, co spotkało Gomfy, nie było miasta w Tesalii, które by nie usłuchało Cezara i nie poddało się jego rozkazom. Jedynym wyjątkiem była Larisa, obsadzona przez wielkie wojska Scypiona. Ów, znalazłszy dogodne miejsce wśród pól pełnych dojrzewającego zboża, postanowił oczekiwać Pompejusza i tam przenieść wojnę.

W kilka dni później Pompejusz wkroczył do Tesalii. Miał przemowę do wszystkich wojsk, dziękując swoim, a wzywając Scypionowych żołnierzy, by teraz, gdy zwycięstwo już odniesiono, zechcieli stać się uczestnikami łupów i nagród. Wszystkie legiony pomieszczono we wspólnym obozie, Pompejusz podzielił się zaszczytami ze Scypionem, kazał, by przy nim tak samo grano hejnał i rozpięto dlań drugi namiot wodza. Z powiększeniem sił Pompejusza i połączeniem dwóch wielkich wojsk utwierdziło się u wszystkich dawne dobre mniemanie, a nadzieja zwycięstwa tak wzrosła, że każda zwłoka wydawała się opóźnieniem powrotu do Italii, i jeśli Pompejusz czynił coś powolniej i rozważniej, sarkano, że wszystko dałoby się skończyć w jeden dzień, ale on rozkoszuje się władzą naczelnego wodza, a dawnych konsulów i pretorów ma za niewolników. I już między sobą otwarcie spierali się o nagrody i kapłaństwa, układali na lata naprzód listę konsulów, inni upominali się o domy i majątki tych, co byli w obozie Cezara.

Podczas narady wynikł wśród nich wielki spór o to, czy należy na najbliższych komiejach pretorskich uwzględnić nieobecnego Lucyliusza Hirrusa, którego Pompejusz wysłał do Fartów. Jego przyjaciele odwoływali się do opieki Pompejusza, który mu to ręczył na wyjeździe, i mówili, że nie godzi się, by Hirrusa spotkał zawód dlatego, że zaufał powadze swego wodza, reszta zaś oświadczyła się przeciw wyróżnianiu jednego spośród wszystkich, gdy każdy w równym stopniu ponosi trudy i niebezpieczeństwa.

Już o kapłańską godność Cezara Domicjusz, Scypion, Spinter Lentulus kłócili się codziennie i posuwali się jawnie do najcięższych obelg, przy czym Lentulus powoływał się na szacunek należny wie-

kowi, Domicjusz chęłpił się swoim wpływem i znaczeniem w stolicy, Scypion opierał się na powinowactwie z Pompejuszem.

Akucjusz Rufus oskarżył nawet przed Pompejuszem L. Afraniusza o zdradę wojska na podstawie wypadków w Hiszpanii. A. L. Domicjusz oświadczył na naradzie, że po skończonej wojnie powinno się dać trzy tabliczki sędziowskie tym ze stanu senatorskiego, którzy razem z nimi brali udział w wojnie, aby wydali wyrok o każdym, kto został w Rzymie albo kto był wprowadzie na ziemiach zajętych przez Pompejusza, ale niczym się nie przyczynił do wojny. Jedną z tych tabliczek uwalniałoby się od wszelkiej kary, drugą skazywałoby się na śmierć, trzecią na grzywnę. Słowem, wszyscy zabiegali albo o zaszczyty i nagrody pieniężne dla siebie, albo o prześladowanie swych wrogów i zamiast obmyślać środki do zwycięstwa, zastanawiali się, jak mają je wyzyskać. Zapasy zboża były gotowe, żołnierze podnieśli się na duchu. Cezar wyczekał dość długi czas po walkach pod Dyrachium, aby mógł się należycie przekonać o zmianach nastroju żołnierzy, po czym uznał, że trzeba się przekonać, w jakim stopniu Pompejusz ma zamiar lub chęć wystąpić do bitwy.

Wyprowadził więc wojsko i uszykował najpierw w upatrzonym miejscu, dosyć daleko od obozu Pompejusza, następnych zaś dni coraz się odsuwał od swego obozu, a zbliżał ku wzgórzom zajętych przez pompejanów. Dzięki temu jego wojsko z każdym dniem nabierało więcej otuchy. Co do konnicy, trzymał się dawnej zasady, o której była mowa, mianowicie: ponieważ znacznie ustępowała nieprzyjacielskiej liczebnością, wybierał spośród przedchorągiewnych najmłodszych i najbardziej ochoczych, uzbrajał tak, by rynsztunek pozwalał na żwawość ruchów, i kazał walczyć wśród jeźdźców. Codzienne ćwiczenia oswoiły ich z tym rodzajem walki. Doszło do tego, że w razie konieczności tysiąc jeźdźców nawet na otwartej równinie ośmielało się stawić czoło siedmiu tysiącom Pompejusza, nie trwając się bynajmniej ich liczbą. I nawet w tych dniach stoczył, pomyślną bitwę kawaleryjską, w której wśród kilku innych zabił jednego z dwóch Allobrogów, tych, co, jak mówiliśmy, zbiegli do Pompejusza.

Pompejusz, który miał obóz na wzgórzu, zawsze u samych jego stóp szykował wojsko, oczekując, jak się zdaje, czy Cezar nie przyjmie bitwy w tym niedogodnym miejscu. On zaś, widząc, że nie da się w żaden sposób zwabić Pompejusza do walki, za najwłaściwszą uznał taktykę następującą: zwinąć obóz i wciąż być w drodze, co by mu pozwalało docierać do różnych okolic i łatwiej zaopatrywać się w zboże, mogłaby się również zdarzyć sposobność do bitwy, a wojsko Pompejusza, nie przywykłe do takich trudów, nękałby codziennymi marszami. Z .tym postanowieniem dał znak do wymarszu, lecz kiedy już namioty zwinięto, zauważono, że wbrew codziennemu zwyczajowi wojska Pompejusza odsunęły się nieco dalej od okopów, tak że w razie bitwy miałyby się wcale dogodne warunki.

Już pierwsze nasze szeregi stały w bramach, gdy Cezar zwrócił się do swego otoczenia: "Musimy - rzekł - w tej chwili odwołać wymarsz, bo trzeba myśleć o bitwie, której wciąż żądaliśmy. Duchem bądźmy gotowi do walki, niełatwo znajdziemy później taką sposobność". I natychmiast wyprowadza wojsko w pogotowiu bojowym.

Pompejusz również, jak to później stało się wiadome, za radą całego otoczenia, postanowił stoczyć bitwę. Już dawniej bowiem podczas narady powiedział, że wojsko Cezara pójdzie w rozsypkę, zanim ze-

trą się ze sobą. Wywołało to u wielu zdumienie. "Wiem - odparł - że obiecuję rzecz nie do wiary, lecz odkryje wami mój plan, abyście z tym większą pewnością szli do bitwy. Nakłoniłem naszych jeźdźców (i oni mnie zapewnili, że to uczynią), by gdy dwa wojska zbliżą się do siebie, wpadli na prawe skrzydło Cezara od nieosłoniętego boku i, zaskoczywszy jego szeregi z tyłu, rozbili je, zanim od nas padnie choćby jeden pocisk. Tak, nie narażając legionów i niemal bez szkody, zakończymy wojnę. A nie jest to trudne, skoro taką mamy przewagę w konnicy". Wezwał ich jednocześnie, by byli zdecydowani na to, co przyszłość niesie, i skoro zjawia się sposobność do walki, o której tak często myśleli, powinni doświadczeniem i walecznością potwierdzić dobre mniemanie, jakie mają u żołnierzy.

Po nim zabrał głos Labienus. Lekceważąc siły Cezara, najwyższymi pochwałami wynosił plan Pompejusza. "Nie sądz, Pompejuszu - rzekł - że to jest to samo wojsko, które zwyciężyło Galię i Germanię. Brałem udział we wszystkich bitwach i nie mówię na wiatr rzeczy mi nie znanych. Została -z tamtego wojska tylko bardzo szczupła garstka, większa część zginęła, co musiało nastąpić w tak długich walkach, wielu pochłonął pomór jesienny w Italii, wielu rozeszło się do domu, wielu zostało na kontynencie. Czyż nie słyszeliście, że całe kohorty potworzono w Brundizjum z tych, którzy zostali pod pozorem choroby? Wojsko, które widzicie, sformowano z zaciągów ostatnich dwóch lat w Galii Przedalpejskiej, wielu zaś pochodzi z osadników po tamtej stronie Padu. Zresztą, co było najciekawszego, zginęło w dwóch bitwach pod Dyraćhium". To rzekłszy zaprzysiął, że nie wróci do obozu inaczej niż zwycięzcą, i wezwał drugich, by tak samo uczynili. Pompejusz pochwalił to i również zaprzysiął: nikt z pozostałych nie wahał się pójść za ich przykładem. Zamknięto naradę wśród wielkich nadziei i powszechnej radości. W duchu już widzieli zwycięstwo, wyobrażając sobie, że w tak wielkiej sprawie i od tak wielkiego wodza niepodobna usłyszeć czczych słów.

Gdy Cezar zbliżył się do obozu Pompejusza, spostrzegł jego wojsko uszykowane w ten sposób: na lewym skrzydle stały dwa legiony, które w początkach zatargu Cezar oddał na skutek uchwały senatu; jeden z nich nazywał się pierwszy, drugi - trzeci. Tu był sam Pompejusz. Środek zajmował Scypion z legionami syryjskimi Legion cylicyjski wraz z kohortami hiszpańskimi, które, jak wspomnieliśmy, przyprowadził Afraniusz, umieszczono na prawym skrzydle.

Pompejusz uważał je za najciekawsze z całego wojska. Resztę kohort rozstawił między środkowym szykiem a skrzydłami. Razem było 110 kohort, czyli 45000 ludzi, nie licząc około dwóch tysięcy wysłużonych żołnierzy; byli to beneficjariusze z dawnych armii, którzy zbiegli się do Pompejusza, on zaś ich rozsypał po wszystkich oddziałach. Pozostałe siedem kohort rozdzielił dla obrony obozu i pobliskich redut. Prawe skrzydło zabezpieczał strumyk o stromych brzegach i z tej przyczyny całą konnicę, wszystkich łuczników i procarzy przerzucił na lewe skrzydło.

Cezar, trzymając się dawnej zasady, ustawił X legion na prawym, a XI na lewym skrzydle, chociaż bitwy pod Dyraćhium bardzo go uszczupliły, i tak z nim połączył legion VIII, że prawie jeden z nich utworzył, i rozkazał, by się nawzajem posiłkowały. W szeregach stanęło osiemdziesiąt kohort, które miały razem 22 000 ludzi. Dwie kohorty zostawił dla pilnowania obozu. Dowództwo lewego skrzydła oddał Antoniuszowi, prawego P. Sulli, środka Gn. Domicjuszowi. Sam stanął naprzeciw Pompejusza.

Rozejrzawszy się jednak w układzie sił nieprzyjacielskich, zaniepokoił się, by prawe skrzydło nie zostało zaskoczone przez chmarę konnicy, i w lot z trzeciej linii wycofał po jednej kohorcie z każdego legionu, stworzył z nich czwartą linię zwróconą przeciw konnicy, wydał stosowne rozkazy i ostrzegł, że od ich dzielności zależy tego dnia zwycięstwo. Trzeciej linii zabronił ruszać się bez jego rozkazu: we właściwym czasie da znak flagą.

Wojskowym zwyczajem zwracając się przed bitwą do żołnierzy, wskazał na dobrodziejstwa, jakie im zawsze świadczył, a przede wszystkim przypominał, co sami mogą potwierdzić, jak usilnie zabiegał o pokój, jak wszczynał rozmowy z żołnierzami przez Watiniusza, jak przez A. Klodiusza znosił się ze Scypionem, jakimi sposobami pod Orikum starał się wymóc na Libonie wysłanie posłów. I nigdy nie pragnął szafować krwią żołnierzy ani pozbawiać rzeczypospolitej któregośkolwiek wojska. Po tej przemowie, na żądanie żołnierzy płonących żądzą walki, dał trąbą hasło.

Był w wojsku Cezara żołnierz wysłużony, Gajus Krastinus, który w ubiegłym roku był u niego pierwszym setnikiem X legionu, mąż szczególnej dzielności. Ów, gdy dano znak: "Za mną - krzyknął - towarzysze, którzyście służyli w moim manipule. Spełnijcie powinność wobec wodza. Pozostaje tylko ta jedna bitwa; jemu zwróci ona cześć, a nam wolność". I zwracając się do Cezara: "Dzisiaj - rzekł - imperatorze, zasłużę na twoją wdzięczność - żywy albo umarły". Po tych słowach pierwszy wybiegł z prawego skrzydła, a za nim na ochotnika około 120 najlepszych żołnierzy.

Między dwoma wojskami zostało ledwo tyle wolnej przestrzeni, by każde miało pole do podbiegu. Lecz Pompejusz kazał przyjąć swoim natarcie Cezara nie ruszając się z miejsca, w oczekiwaniu, aż się jego szyki rozluźnią. Uczyniono to, jak powiadają, za radą G. Triariusza, by pierwsze uderzenie załamało się i osłabiło atakujących, a gdy ich szyk rozciągnie się, pompejanie w zwartych szeregach rzucą się na rozproszonych. Spodziewał się poza tym, że gdy żołnierze pozostaną w miejscu, oszczepy nieprzyjacielskie godzić będą z mniejszą siłą, niż gdyby sami biegli na pociski, jednocześnie zaś żołnierze Cezara wyczerpią się podwójnym biegiem i ulegną znużeniu. Zachowanie się Pompejusza wydaje nam się zupełnie niedorzeczne, gdyż każdy ma z natury pewien popęd wewnętrzny i wrodzoną ochotę, które zapal wojenny rozżarza. Wodzowie powinni je podsycać, a nie tłumić, i niedaremnie mamy zalecone od przodków, by zewsząd odzywało się granie sygnałów i by wszyscy podnosili wrzask: wiedzieli oni, że tym wrogów się trwoży, a swoich zagrzewa.

Lecz nasi żołnierze, wybiegłszy na dany znak z gotowymi do rzutu oszczepami, skoro spostrzegli, że pompejanie nie idą naprzeciw, nauczeni doświadczeniem i zaprawieni w poprzednich bojach, z własnego natchnienia zatrzymali się w biegu i stanęli pośrodku pola, aby nie dojść do linii nieprzyjacielskiej wyczerpanymi. Po krótkiej chwili, wznowiwszy bieg, rzucili oszczepy i prędko, jak Cezar rozkazał, dobyli mieczów. Pompejanie okazali się na wysokości zadania. Albowiem i pocisków się nie ulękli, i wytrzymali uderzenie legionów, i nie pomieszali szyków, a rzuciwszy na nas oszczepy, przeszli do mieczów. W tej samej chwili jeźdźcy od lewego skrzydła Pompejusza, jak było rozkazane, wszyscy razem wystąpili, a z nimi wysypała się hurma łuczników. Nasza konnica nie wytrzymała uderzenia,

lecz powoli wypierana ustąpiła, co widząc jeźdźcy Pompejusza tym ostrzej nacierali i rozwinawszy szwadrony zaczęły okrążyć nas od nieosłoniętego boku.

Spostrzegł to Cezar i dał znak owej czwartej linii, którą utworzył z sześciu kohort. W lot się ruszyli i z taką siłą i zawziętością uderzyli na jeźdźców Pompejusza, że nikt nie dotrzymał pola: wszyscy wykonawszy zwrot nie tylko się cofnęli, ale, porwani popłochem, pierzchli w góry. Ze zniknięciem jeźdźców łucznicy i procarze, pozostawieni sami sobie, stali się bezbronni i wszyscy polegli. Tym samym impetem kohorty obkoczyły i napadły z tyłu lewe skrzydło pompejanów, którzy jeszcze wtedy walczyli i trzymali się w szyku.

W tejże chwili Cezar kazał wystąpić trzeciej linii, która dotąd trwała w miejscu spokojnie. Skoro więc teraz świeże i nietknięte siły zastąpiły uznojonych, a drudzy napadli z tyłu, pompejanie zdziżyć nie mogli i wszyscy rzucili się do ucieczki. I nie omylił się Cezar, jak to zapowiedział w mowie do żołnierzy, że od tych kohort, które stanęły przeciw konnicy w czwartej linii, wyjdzie początek zwycięstwa. One to bowiem pierwsze rozproszyły konnicę, one wycięły łuczników i procarzy, one, okrążywszy od lewej strony szeregi Pompejusza, dały początek ucieczce wroga.

Lecz Pompejusz, widząc odwrót konnicy i popłoch w tej części wojska, na której najbardziej polegali, innym również nie ufając, opuścił szeregi i na koniu jak najszybciej schronił się do obozu. Na centurionów, którym wyznaczył posterunek przy bramie pretoriańskiej, zawołał gromko, aby żołnierze mogli słyszeć: "Strzeżcie obozu i brońcie go usilnie, jeśliby coś gorszego miało się zdarzyć. Ja obejdem resztę bram i dodam otuchy załogom!" To rzekłszy, odjechał do swego namiotu i mimo że nie wierzył w powodzenie, oczekiwał przecież ostatecznego wyniku.

Uciekających pompejanów wpędzono między szańce. Cezar rozumiał, że nie powinno się dać im ani chwili na ochłonięcie z popłochu i wezwał żołnierzy, by korzystając z łaski losu brali szturmem obóz. Ci, mimo srogi upał (albowiem bitwa przeciągnęła się do południa), duchem gotowi do wszelkich trudów, usłuchali rozkazu. Kohorty stanowiące załogę obozu broniły go zaciekle, a jeszcze o wiele zawzięciej Trakowie i inni barbarzyńcy z wojsk posiłkowych. Żołnierze bowiem, którzy zbiegli z szeregów, przerażeni i wyczerpani, po większej części rzucili broń i sztandary i myśleli raczej o dalszej ucieczce niż o obronie obozu. A ci, co stali na szanćach, nie mogli dłużej wytrzymać śmy pocisków: okryci ranami, opuścili posterunek i nie oglądając się na nic za przewodem setników i trybunów, umknęli w wysokie góry, ciągnące się tuż koło obozu.

W obozie Pompejusza można było oglądać budowane chłodniki, wszędzie moc sreber, namioty wyłożone świeżą murawą, a nawet, jak u Lucjusza Lentulusa i kilku innych, ocienione bluszczem, i wiele różnych rzeczy świadczących o przesadnym zbytku i pewnością zwycięstwa. Łatwo było poznać, że nie obawiali się o wynik tego dnia ludzie, którzy tak dbali o niepotrzebne rozkosze. I oto ukazywali swój zbytek wynędzialemu i arcywstrzemięźliwemu wojsku Cezara, któremu zawsze brakowało rzeczy najniezbędniejszych. Gdy już nasi kręcili się wśród szanćów, Pompejusz dopadł konia, zerwał odznaki imperatora i tylną bramą wymknął się z obozu, pędząc co koń wyskoczy do Larisy. Lecz i tam się nie zatrzymał i z tą samą szybkością, zebrawszy garść swoich w ucieczce, goniąc dzień i noc, w trzydzie-

ści koni dotarł do morza i wsiadł na okręt zbożowy. Mówiono, że nieustannie się skarżył na zawód, jaki go spotkał od ludzi, po których spodziewał się zwycięstwa, a którzy pierwsi poszli w rozsypkę - uważał ich nieomal za zdrajców.

Po zdobyciu obozu Cezar zażądał stanowczo od żołnierzy, by nie zajmowali się łupem, inaczej przepuszczą sposobność dalszego wyzyskania zwycięstwa. Wymógł to na nich i natychmiast postanowił góry osaczyć wałem. Ponieważ w tych górach nie było wody, pompejanie, nie czując się w nich bezpieczni, zaczęli po wierchach cofać się w kierunku Larisy. Zauważył to Cezar i rozdzielił swoje siły. Części legionów kazał pozostać w obozie Pompejusza, część odesłał do własnego obozu, a cztery legiony wziął ze sobą, aby wygodniejszą drogą odciąć pompejanom odwrót. Uszedłszy 6000 kroków zatrzymał się i sprawił szyki. Spostreegli to pompejanie i nie ruszali się z gór. Pod tymi górami płynęła rzeka. Cezar przemówił do żołnierzy, oni zaś, chociaż byli uznojeni nieustającym trudem całego dnia i już zmierzch zapadał, wzniesli wał między górami a rzeką, aby pompejanie nie mogli zaopatrywać się w wodę. Ledwo tę pracę ukończono, gdy tamci przysłali parlamentarzy, by rokowali o kapitulację. Przyłączyło się do nich kilku senatorów i pod osłoną nocy ratowało się ucieczką.

O świcie kazał Cezar wszystkim, którzy schronili się w górach, zejść na nizinę i rzucić oręż. Uczynili to bez sprzeciwu, po czym padli na ziemię i wyciągając ręce, z płaczem błagali o życie. Uspokoił ich, kazał wstać, powiedział parę słów o swej pobłaźli wości, aby im odjąć strachu. Wszystkich zachował i polecił swoim żołnierzom, by nikt z tych ludzi nie doznał gwałtu ani nie utracił nic ze swego mienia. Dopilnowawszy tej sprawy zawezwał z obozu inne legiony, a tym, które z sobą przyprowadził, kazał z kolei wypocząć i wrócić do obozu. Tego samego dnia stanął w Larisie. W tej bitwie stracił nie więcej niż dwustu żołnierzy, lecz około trzydziestu centurionów, dzielnych mężów. Poległ również, walcząc z największym męstwem, wyżej wspomniany Krastinus, który dostał cios mieczem w samą twarz. I sprawdziło się to, co zapowiedział idąc do bitwy. Rzeczywiście bowiem przekonał się Cezar, że nikt w niej Krastinusowi nie dorównał męstwem, i przyświadczył, że mu się on najlepiej zasłużył. Z wojska Pompejusza, jak się okazało, padło około 15 000, a do niewoli poszło z górą 24 000 (albowiem nawet te kohorty, które stały na fortach, poddały się Sulli), wielu poza tym uciekło do sąsiednich krajów.

Przyniesiono Cezarowi z tej bitwy 180 sztandarów i dziewięć orłów. L. Domicjusza zabili jeźdźcy, gdy opadł z sił podczas ucieczki między obozem a górami.

W tym samym czasie D. Leliusz przybył z flotą pod Brundizjum i w podobny sposób jak Libon, o czym wprzód mówiliśmy, zajął wyspę leżącą naprzeciw portu. Tak samo i Watyniusz, komendant Brundizjum, pokrył i uzbroił łodzie, czym zwabił okręty Leliusza. Udało mu się przyłapać w cieśninie portu dwa mniejsze okręty i jeden pięciorzędowiec, który się za daleko posunął. Jeźdźców rozstawił na wybrzeżu, aby załogi floty nieprzyjacielskiej nie dopuścić do wody. Lecz dzięki porze roku lepszej do żeglugi, Leliusz dostarczał swoim ludziom wody statkami przewozowymi z Koreyry i Dyrachium. Niczym nie dał się odstraszyć od swoich zamiarów. Zanim przyszły wiadomości o bitwie w Tesalii,

nie mogła go wypędzić z portu i wyspy ani sromotna utrata okrętów, ani brak na j niezbędniejszych rzeczy.

Prawie jednocześnie Kasjusz zjawił się na wodach Sycylii z flotą złożoną z okrętów syryjskich, fenickich i cylicyjskich. Flota Cezara była podzielona na dwie części: jedną dowodził pretor P. Sulpicjusz, który stał pod Wibo, drugą - M. Pomponiusz koło Messany. Kasjusz ze swoimi okrętami dopłynął do Messany wcześniej, zanim Pomponiusz dowiedział się o jego wyprawie. Zastał go wśród zamętu, bez czat i ustalonych posterunków. Korzystając z silnego i pomyślnego wiatru, statki przewozowe napelnił sośniną, smołą, pakułami, wszystkim, co służy do wzniesienia pożaru, i puścił je na flotę Pomponiusza. Spalił mu wszystkie 35 okrętów, w tym dwadzieścia pokrytych. Taki stąd padł strach, że chociaż w Messanie cały oddział stał załogą, miasto ledwo się broniło i zdaniem wielu przyszłoby je utracić, jeśliby w tym czasie nie nadbiegli rozstawnymi końmi gońcy z wieścią o zwycięstwie Cezara. W porę przyniesione nowiny ocaliły miasto. Kasjusz popłynął stamtąd przeciw flocie Sulpicjusza pod Wibo. Ten sam postrach kazał naszym przybić do brzegu. Kasjusz zaś, jak za pierwszym razem, miał wiatr pomyślny i pchnął ku nam przygotowane do podpalenia transportowce.

Na obu skrzydłach wybuchł pożar i spłonęło pięć okrętów. Lecz gdy ogień, gnany siłą wiatru, zaczął się rozszerzać, żołnierze ze starych legionów, pozostawieni jako chorzy do pilnowania okrętów, nie znieśli hańby i z własnego popędu skoczyli na okręty, odbili od lądu, uderzyli na flotę Kasjusza i pojmali dwa pięciórzędowce. Na jednym z nich był Kasjusz, któremu udało się dostać do łodzi i uciec. Zagarnięto również dwa trój rzędowce. Wkrótce potem przysły wiadomości o bitwie w Tesalii, którym już i sami pompejanie dali wiarę, albowiem dotąd brali je za wymysły legatów i przyjaciół Cezara. Na skutek tych wiadomości Kasjusz odpłynął ze swoją flotą. Cezar uważał, że należy wszystko inne porzucić a ścigać Pompejusza, dokądkolwiek by uciekł, aby nie mógł znów zebrać sił i wznowić wojny. Ile więc tylko tchu starczyło konnicy, pędził dzień w dzień, przykazawszy jednemu legionowi ciągnąć za sobą wolniejszym marszem. Był edykt Pompejusza, ogłoszony w Amfipolis, by wszystka młodzież tej prowincji, Grecy i obywatele rzymscy, zjechała dla złożenia przysięgi. Niepodobna orzec, czy Pompejusz uczynił to, by odwrócić podejrzenia i jak najdłużej ukryć plan dalszej ucieczki, czy dążyłby do utrzymania się w Macedonii, robiąc nowe zaciągi, jeśliby mu w tym nikt nie przeszkodził. Sam przez jedną noc stał na kotwicy, wezwał do siebie przyjaciół zamieszkałych w Amfipolis, pożyczył pieniędzy na niezbędne wydatki, wreszcie posłyszawszy, że Cezar się zbliża, odpłynął i po paru dniach dotarł do Mityleny. Przez dwa dni trzymała go tam burza. Przyłączyło się doń kilka lekkich okrętów, z którymi popłynął do Cylicji, a stamtąd na Cypr. Tam się dowiedział, że za wspólnym porozumieniem między mieszkańcami Antiochii a obywatelami rzymskimi, mającymi tam swoje interesy, zajęto zamek, aby nie dopuścić Pompejusza. Rozesłano również gońców do wszystkich pompejanów, którzy po ucieczce schronili się w ościennych krajach, aby nie wazyli się wejść do Antiochii: kto by to uczynił, naraziłby swą głowę na wielkie niebezpieczeństwo. To samo przydarzyło się na Rodos L. Lentulusowi, konsulowi z ubiegłego roku, i P. Lentulusowi, również byłemu konsulowi, i wielu

innym. Uciekając w ślad za Pompejuszem, skoro dotarli do wyspy, nie zostali wpuszczeni ani do miasta, ani do portu i kazano im powiedzieć, aby się stąd zabierali.

Nie mieli innego wyjścia, jak odbić od brzegu. A już w tamte strony doszła wieść o zbliżaniu się Cezara. Pompejusz, oceniwszy stan rzeczy, porzucił myśl o wyprawie do Syrii. Podjął pieniądze towarzystwa dzierżawców danin, pożyczył od osób prywatnych, wziął na okręty olbrzymi ładunek miedzianej monety na wydatki wojskowe, uzbroił dwa tysiące ludzi, których częścią wybrał spośród czeladzi towarzystwa dzierżawców, częścią wziął od kupców, wreszcie każdy z jego orszaku dał mu tych, których

uważał za odpowiednich, iż tym wszystkim popłynął do Pelusjum. Znajdował się tam przypadkiem król Ptolemeusz. Wiekiem pacholę, prowadził on z wielkimi siłami wojnę przeciw siostrze, Kleopatrze, którą kilka miesięcy temu wygnał z królestwa przez swoich krewnych i przyjaciół. Obóz Kleopatry leżał nie opodal jego obozu. Posłał doń Pompejusz, prosząc w imię zażyłości i przyjaźni, jaka go łączyła z ojcem, by mu dał schronienie w Aleksandrii i swą potęgą osłonił w nieszczęściu. Lecz jego wysłańcy, spełniwszy zlecenia, wdali się w zbyt swobodne rozmowy z żołnierzami króla, namawiając, by ofiarowali swe usługi Pompejuszowi i nie lekceważyli go wskutek ostatnich niepowodzeń. Było wśród nich niemało dawnych żołnierzy Pompejusza. W Syrii dostali się oni z jego wojska pod rozkazy Gabiniusza, który przyprowadził ich do Aleksandrii, a po skończonej wojnie zostawił u Ptolemeusza, ojca owego pacholecia.

O zabiegach posłów doniesiono przyjaciołom króla, którzy z powodu jego małoletności opiekowali się królestwem. Czy to, jak później oświadczyli, z obawy, by Pompejusz, zbuntowawszy wojsko królewskie, nie zajął Aleksandrii i Egiptu, czy też z pogardy dla jego nieszczęścia - jak się to często zdarza, że klęska z przyjaciół czyni wrogów - dość, że posłom dali łaskawą odpowiedź, prosząc, by Pompejusz przybył do króla, jednocześnie zaś weszli potajemnie w zмовę z Achillasem, prefektem królewskim, człowiekiem szczególnej śmiałości, i L. Septimiuszem, trybunem wojskowym, którym powierzyli zgładzenie Pompejusza. Ci dwaj zachowywali się wobec niego z wielką uprzejmością, a Septimiusz był mu trochę znany, ponieważ służył pod nim w wojnie z korsarzami. Pompejusz dał się nakłonić do opuszczenia okrętu i wsiadł do małej łodzi z nielicznym orszakiem.

Tam został zabity przez Achillasa i Septimiusza. Następnie z rozkazu króla pochwycono L. Lentulusa i stracono w więzieniu.

Cezar, gdy przybył do Azji, dowiedział się, że T. Ampiusz usiłuje zagarnąć skarbiec świątyni Diany w Efezie, i po to zwołał wszystkich senatorów z prowincji, aby przy świadkach dokonać obliczenia. Zjawienie się Cezara przeszkodziło w tym, bo Ampiusz uciekł. Tak po raz drugi Cezar ocalił skarb efeski. A i w Elidzie, w świątyni Miner wy, jak to dokładnie wyliczono, w tym samym dniu, w którym Cezar stoczył pomyślną bitwę, posąg bogini zwycięstwa, stojący przed Minerwą i ku niej twarzą zwrócony, obrócił się w stronę wejścia do świątyni. Tego samego dnia w Antiochii w Syrii dwukrotnie dał się słyszeć taki zgiełk wojska i dźwięk tręb, że cała ludność uzbrojona wybiegła na mury. To samo zdarzyło się w Ptolemaidzie. W Pergamonie, w tajemnej i ukrytej świątyni, zwanej przez Gre-

ków adyta, dokąd poza kapłanami nikomu wejść nie wolno, zagrały bębenki. Podobnie i w Tralles, w świątyni zwycięstwa, gdzie ustawiono posąg Cezara, można było oglądać palmę, która w owych dniach wyrosła w szparach między kamieniami posadzki.

Cezar tylko parę dni zabawił w Azji, posłyszał bowiem, że Pompejusza widziano na Cyprze, z czego wnioskował, że zmierza on do Egiptu, chcąc wyzyskać stosunki, jakie go łączyły z królestwem, oraz inne korzyści. Pociągnął więc do Aleksandrii z dwoma legionami, z których jeden szedł za nim z Tesalii, drugi zaś przyprowadził z Achał legat Kw. Fufiusz, i z 800 jeźdźcami. Miał dziesięć wojennych okrętów rodyjskich i kilka azjatyckich. W tych legionach było 3200 ludzi, reszta odpadła po drodze wskutek ran odniesionych w bitwach i trudów tak dalekiej wyprawy. Cezar jednak zaufał sławie swych zwycięstw i nie wahał się wyruszyć z tak słabymi siłami, przekonany, że wszędzie będzie równie bezpieczny. W Aleksandrii dowiedział się o śmierci Pompejusza, a wysiadając z okrętu posłyszał krzyki żołnierzy, których król pozostawił dla obrony miasta, i zobaczył zbiegowisko, zajmujące wobec niego postawę groźną na widok różg liktorskich: wywołały one oburzenie jako obraza majestatu królewskiego. Uśmierzono ów tumult, lecz w następnych dniach zdarzały się częste zbiegowiska podnieconego tłumu, a w różnych dzielnicach miasta zabito niemało żołnierzy. Z uwagi na te wypadki kazał sobie Cezar przyprowadzić z Azji inne legiony, które utworzył z żołnierzy Pompejusza. Sam bowiem był uwięziony przez północno-zachodnie wiatry, ze wszystkich najbardziej przeciwne dla tych, co płyną z Aleksandrii. Tymczasem zajął się waśniami pary królewskiej, uważając, że należy to do narodu rzymskiego i do niego jako konsula, tym bardziej że za jego pierwszego konsulatu zawarto na mocy osobnej ustawy i uchwały senatu przymierze z Ptolemeuszem ojcem.

Orzekł więc, by tak król Ptolemeusz, jak i jego siostra Kleopatra rozpuścili wojska i rozstrzygnęli spór nie orężem, ale prawem, on zaś będzie rozjemcą.

W imieniu małoletniego króla sprawował rządy jego wychowawca, rzezaniec Potinus. On to najpierw wśród swego otoczenia zaczął się skarżyć i oburzać, że króla na sąd się wzywa, następnie dobrał sobie kilku powierników spośród przyjaciół króla, wojsko z Pelusjum wezwał potajemnie do Aleksandrii i owego Achillasa, o którym wspominaliśmy, uczynił wszystkich sił dowódcą. Rozpaliwszy go własnymi i króla obietnicami, przez listy i gońców pouczył, co ma robić. Testament Ptolemeusza ustanawiał spadkobiercami: starszego z dwóch synów, a z dwóch córek tę, która była wiekiem pierwsza. O dopełnienie tego błagał Ptolemeusz w swym testamencie naród rzymski, zaklinając na wszystkich bogów i sojusze. Jeden egzemplarz zawiozł osobne poselstwo do Rzymu, aby go złożyć w skarbcu, a ponieważ z powodu niepokojów nie można było tego uczynić, zostawiono na przechowanie u Pompejusza. Drugi egzemplarz, o tym samym brzmieniu, opieczętowany, znajdował się w Aleksandrii. Gdy się te sprawy toczyły przed Cezarem, który, jako ich obojga przyjaciel i rozjemca, gorąco pragnął rozstrzygnąć spory królestwa, nagle pada nowina, że wojsko królewskie i cała konnica idzie na Aleksandrię. Siły Cezara były za szczupłe, aby mógł sobie pozwolić na walkę poza miastem. Nie pozostawało nic innego, jak trwać na pozycjach w mieście i poznać zamiary Achillasa. Żołnierzom jednak kazał stać pod bronią i polecił królowi, by ze swoich bliskich wybrał tych, których najwyżej szacuje, i posłał

ich ze swoimi rozkazami do Achillasa. Wysłano Dioskoridesa i Serapiona, którzy kiedyś posłowali do Rzymu i mieli wielkie zachowanie u starego Ptolemeusza. Achillas, skoro ich tylko zobaczył, ani nie wysłuchał, ani się nie dowiedział, z czym przychodzą, ale kazał ich porwać i stracić. Jednego z nich zabito, drugi ocalał, gdyż rannego natychmiast ludzie z jego orszaku zabrali jako nieboszczyka.

Po tym fakcie Cezar postarał się dostać w swoje ręce króla, widząc, ile znaczenia posiada w kraju imię królewskie. Szło mu o to, by wybuch wojny przypisywano raczej intrygom garstki opryszków niż woli króla.

Achillas rozporządzał siłami nie do pogardzenia, tak pod względem liczby, jak i doboru ludzi i doświadczenia wojskowego. Miał pod bronią 20 000. Byli to żołnierze Gabiniusza, którzy już przyjęli swobodne obyczaje aleksandryjskie, zapomniawszy imienia i karności narodu rzymskiego, pożenili się w Egipcie, wielu z nich miało dzieci. Dochodziła do tego zbieranina łotrzyków i opryszków z Syrii, Cylicji i sąsiednich krajów. Ściągnięto też wielu skazanych na gardło i wygnańców. Dla wszystkich naszych zbiegłych niewolników Aleksandria była niezawodną ostoją, dając im bezpieczeństwo z chwilą, gdy się wpisali na listę żołnierzy. Jeśli którego pan kazał przyłapać, żołnierze jak jeden mąż śpieszyli go odbić. Każdy gwałt odpierali jakby własne niebezpieczeństwo, ponieważ na wszystkich ciążyła podobna wina. Domagać się śmierci przyjaciół królewskich, szarpać majątki ludzi bogatych, dla podwyższenia żołdu oblegać pałac królewski, jednych z tronu strącać, drugich osadzać - oto do czego przywykło wojsko aleksandryjskie, mocą jakiejś starożytnej tradycji.

Konnica liczyła 2000. Wszyscy oni zestarzelili się w wielu wojnach aleksandryjskich: Ptolemeuszowi ojcu zwrócili królestwo, dwóchsynów Bibulusa zabili, wojowali z Egipcjanami. Takie było ich doświadczenie wojskowe.

Ufny w swe siły, a lekce sobie ważąc garstkę żołnierzy Cezara, Achillas zajął Aleksandrię z wyjątkiem tej części miasta, którą Cezar obsadził swoimi ludźmi, i od razu usiłował wziąć szturmem jego dom. Lecz Cezar, rozstawivszy u wylotu ulic kohorty, odparł atak. Jednocześnie walczone u portu, i to ze znacznie większą zaciętością. Gdy bowiem rozdzieliliśmy nasze siły tocząc walki na wielu ulicach, nieprzyjaciel tłumnie rzucił się ku okrętom wojennym, aby je zająć. Było ich 50, same trójrzędowce i pięciorzędowce, wyborne i doskonale wyposażone do żeglugi. Były to te same, które posłano na pomoc Pompejuszowi i które po klęsce w Tesalii wróciły do domu. Oprócz nich były jeszcze 22 okręty, które zawsze stały dla ochrony Aleksandrii, wszystkie pokryte; gdyby się udało je zdobyć, Cezar byłby pozbawiony floty, a nieprzyjaciel panowałby nad portem i całym morzem i odcinałby Cezarowi dowóz żywności i posiłki. Walczono więc z taką zaciętością, z jaką trzeba było walczyć, skoro jedni mieli na oku szybkie zwycięstwo, drudzy własne ocalenie. Wziął górę Cezar, który spalił wszystkie okręty nie wyłączając tych, co stały w dokach, posiadał bowiem za szczupłe siły, by bronić się w tak szerokim zasięgu, po czym natychmiast przewiózł żołnierzy dla obsadzenia Faros.

Faros jest to wieża na wyspie, ogromnej wysokości, zbudowana cudowną sztuką: nazwę swoją wzięła od wyspy. Leżąc naprzeciw Aleksandrii, ta wyspa tworzy jej port. Lecz za dawnych królów rzucono w morze groblę długości dziewięciuset kroków i wyspę połączono z miastem wąską drogą i mostem. Na

wyspie są domy Egipcjan, tworzące wieś, dużą na kształt miasta. Jeśli się tam jakiś statek zabląka, zboczywszy z drogi przez nieostrożność albo burzę, łapią go obyczajem rozbójników. Kto jednak ma w swoich rękach Faros, bez tego woli żaden okręt nie wejdzie do portu z powodu cieśniny. Tego właśnie obawiał się Cezar i gdy nieprzyjaciele byli zajęci bitwą, wysadził żołnierzy na Faros, zajął wyspę i zostawił tam załogę. Odtąd mogły okręty bezpiecznie dowozić mu zboże i posiłki.

Rozesłał bowiem po wszystkich sąsiednich prowincjach z żądaniem posiłków. W innych częściach miasta walczone w ten sposób, że obie strony rozchodziły się bez wyniku, zostawiając niewielu poległych, i z powodu ciasnoty nikt nikogo nie mógł wyprzeć. Cezarowi udało się zająć najważniejsze pozycje, które przez noc ufortyfikował. W tej dzielnicy była nieznaczna część pałacu królewskiego, którą z samego początku oddano mu na mieszkanie. Łączył się z nią teatr, który mógł służyć za twierdzę i dawał dostęp do stoczni i portu. W ciągu następnych dni umocnił te obwarowania tak, że mógł się czuć jakby za murami i nie być zmuszonym do walki wbrew woli. Tymczasem młodsza córka Ptolemeusza, mając widoki na nie obsadzone królestwo, przeniosła się z pałacu do Achillasa i zaczęła z nim razem prowadzić wojnę. Prędko jednak wynikł między nimi spór o pierwszeństwo, co zwiększyło hojność wobec żołnierzy, których i on, i ona zjednywali sobie okrutną rozrzutnością.

Gdy się to dzieje w obozie nieprzyjacielskim, Potinus, wychowawca króla i regent, przebywający na obszarze zajętym przez Cezara, posyła gońców do Achillasa, wzywając go do wytrwania i stałości ducha. Wykryło się to przez pochwycenie gońców i Potinus został na rozkaz Cezara stracony. Takie były początki wojny Aleksandryjskiej.

TA KOPIA TEKSTU POCHODZI ZE STRONY [PRACE Z HISTORII](#)